

Dwie ojczyzny,
dwa patriotyzmy



PUBLIKACJA UKAZAŁA SIĘ
W 80. ROCZNICĘ
POWSTANIA
INSTYTUTU LITERACKIEGO
W PARYŻU



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ

Jan Józef Lipski

Dwie ojczyzny,
dwa patriotyzmy

*Uwagi o megalomanii narodowej
i ksenofobii Polaków*

WSTĘP

Jarosław Kurski

INSTYTUT EUROPY ŚRODKOWEJ

Lublin 2026

*Wydano w stulecie urodzin Autora
oraz czterdziestą piątą rocznicę
ukazania się tekstu w paryskiej „Kulturze”*



Spis treści

Wstęp <i>Jarosław Kurski</i>	7
Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków	27
Do Delegatów na I Zjazd NSZZ „Solidarność”	53
List otwarty do polskich i niemieckich komentatorów mojej pracy <i>Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy</i>	55
Odpowiadam na zarzuty	59
Nota edytorska <i>Łukasz Garbał</i>	69

Wstęp

Antoni Słonimski
Dwie ojczyzny

W twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą,
Dla zwyciężonych – wzgarda i ślina,
Gdy ich na rzeź prowadzą.
W twojej ojczyźnie, gdyś hołdy składał –
Przed obce trony.
W ojczyźnie mojej, jeśli kto padał,
To krwią zbaczony.
W twojej ojczyźnie do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.
W twojej ojczyźnie sławnych portrety –
Tom w etażerze.
W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.
Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?

Styczeń 1938



Nie bez powodu wstęp od eseju Jana Józefa Lipskiego zaczynam wierszem Antoniego Słonimskiego. Nawiązanie oczywiste. *Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków* Lipskiego poprzedza właśnie ów zapożyczony od skamandryty tytuł *Dwie ojczyzny*, dopełniony słowami *dwa patriotyzmy*, bo w istocie o kształt patriotyzmu tu chodzi.

Po opublikowaniu tego wiersza skrajna prawica zawyła, bo „żydowski” poeta nie będzie nas, Polaków, uczył patriotyzmu. Jednak tym razem werbalne ataki w rodzaju: „Wiersz Słonimskiego jest obelgą rzuconą w twarz Narodowi Polskiemu”, przerodziły się w atak fizyczny. Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz, autor powyższego cytatu, zadzwonił do Antoniego Słonimskiego do domu i w przymilnych słowach przedstawił się jako początkujący poeta, który chciałby mistrzowi pokazać swoje wiersze. Słonimski poprosił, by Ipohorski przyszedł do Ziemiańskiej i dosiadł się do stolika poety. Podstęp się udał. Tak oto pałkarz zyskał bezpośredni dostęp do Antoniego Słonimskiego, którego spoliczkował, krzycząc: „A masz za dwie ojczyzny”. Poeta zasłonił się krzesłem. Drugiego ciosu nie było. Postawni, zaprawieni w bojach PPS kelnerzy Ziemiańskiej wynieśli Ipohorskiego z lokalu.

Można powiedzieć: cóż, taki koloryt II RP. Ale można też powiedzieć, że wiersz Słonimskiego ujawnił zasadniczy spór o słowo „ojczyzna”, a raczej o to, co ono oznacza i dla kogo?

Już niebawem Ipohorski skończy jako zdrajca zastrzelony z wyroku Armii Krajowej za współpracę z Gestapo. Antoni Słonimski zostanie wygnancem, uchodzącym przed niemieckim nazizmem wraz z innym skamandrytą, Julianem Tuwimem, do Rumunii i dalej na Zachód. Obaj powrócili do Polski, do swojej ojczyzny, jeden wcześniej, drugi później, ale spór o dwie ojczyzny i dwa patriotyzmy był, jest i, obawiam się – na długo z nami pozostanie.



Można oczywiście o tym dyskutować, ale dla mnie *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy* Jana Józefa Lipskiego to najważniejszy tekst polskiej publicystyki w XX wieku. To tekst programowy, w którym Lipski wykląda istotę patriotyzmu już w drugim zdaniu, a potem jedynie tę istotę rozwija i uzasadnia.

To, co proponuje Lipski, zawsze w Polsce było na czasie, ale dziś – w obliczu odradzającego się faszyzmu, bezkrytycznej idolatrii własnego narodu i fałszywego przekonania, że nasz naród jest największym

męczennikiem pośród narodów; w dobie bezzasadnego wywyższania go ponad inne, w szczególności sąsiedzkie; w czasie pełzającego antysemityzmu i eksplozji ukraïnofobii – tekst Lipskiego wręcz pali aktualnością.

Jak brzmi zatem zdanie, które jest przewrotem kopernikańskim w rozumieniu patriotyzmu? Lipski pisze, że to „od stosunku do »obcych« bardziej niż od stosunku do »swoich« zależy kształt patriotyzmu”.

To zdanie stoi w jaskrawej opozycji do wartości reprezentowanych przez ojców polskiego nacjonalizmu: Zygmunta Balickiego, Jana Ludwika Popławskiego i Romana Dmowskiego, w opozycji do idei egoizmu narodowego, gdzie już tylko krok do szowinizmu i ksenofobii, oraz idei darwinizmu w stosunkach międzynarodowych, która dziś za sprawą Putina i Trumpa odradza się i święci triumfy. Lipski uważa, że „szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia czy nienawiść do wszystkiego, co obce, egoizm narodowy nie dadzą się pogodzić z nakazem chrześcijańskim miłości bliźniego. Patriotyzm natomiast daje się pogodzić”.

Dla Lipskiego chrześcijaństwo ustanawia kodeks etyczny, który aplikować trzeba nie tylko w relacji do swoich, ale także wobec innych narodów. To deklaracja człowieka, który sam wywodził się z tradycji laickiej, ale poważnie traktował nakazy moralne wynikające z zasad Dekalogu. Lipski jest więc rzadkim przykładem „laickiego świętego”, przykładem jedności myśli, mowy i uczynków.

Dmowski tymczasem, choć pochodził z religijnej rodziny, już w młodości jako biolog i przekonany darwinista stał się najpewniej niewierzący, a z całą pewnością niepraktykujący. (Zmieniło się to dopiero pod sam koniec życia). Z całą pewnością mniej niż Jana Józefa Lipskiego obchodziły go chrześcijańskie nakazy etyczne w życiu publicznym i politycznym. Afirmował natomiast Kościół katolicki i wiarę katolicką jako nieodłączny element polskości, a wręcz jej istotę. Nie trudno dostrzec tu pokrewieństwo z poglądami Charles’a Maurrasa, francuskiego nacjonalisty przełomu XIX i XX wieku, twórcy „Actions francais”, który mimo że był ateistą, to wierzył nie w Boga, ale we francuski Kościół katolicki. Kościół był dla niego ważniejszy od Boga. W Kościele właśnie widział instytucję spajającą naród, instytucję stabilną, hierarchiczną i jednoczącą. To był katolicyzm polityczny, katolicyzm Kościoła, a nie Dekalogu.



Winien tu jestem czytelnikowi wyznanie, dlaczego podjąłem się napisania wstępu do *Dwóch ojczyzn, dwóch patriotyzmów* Jana Józefa Lipskiego. Powody są osobiste.

W młodych latach należałem do grupy zbuntowanej, antykomunistycznej młodzieży skupionej w Gdańsku w Ruchu Młodej Polski. Zacztywaliśmy się wówczas w pismach politycznych Romana Dmowskiego i identyfikowaliśmy z nimi. Wzorem naszego patrona nasze rozumowanie – w uproszczeniu – było mniej więcej takie: zgniły moralnie komunizm w peerelowskim wydaniu deprawuje i niszczy tkankę narodu polskiego. Najlepszą odpowiedzią na tę opresję jest obrona Kościoła, wiary katolickiej, rodziny i narodu rozumianego jako byt historyczny, to znaczy naród jednolity etnicznie, wyznaniowo, powiązany wspólną tradycją. W sytuacji fundamentalnego zagrożenia musimy się kierować zdrowym egoizmem narodowym i tym, co nazywamy *ordo caritas*, czyli porządkiem miłosierdzia, co – jak widzę dziś – jest konceptem dość pogańskim. A więc najpierw Polska i Polacy, krzyż i Kościół, własne państwo i rodzina, a potem inni..., jeśli starczy sił i czasu. Na ogół sił nie starcza, a słabsze narody muszą sobie dawać radę same.

I choć Jan Józef Lipski napisał swój tekst w 1981 roku, to przeczytałem go ze zrozumieniem dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Wywarł na mnie piorunujące wrażenie, zmusił do refleksji nad wyborami młodości, przededefiniował poglądy. Nie chcę się nad tym rozwodzić. Opisałem to w książce *Dziady i dybuki*. Dość powiedzieć, że lektura Lipskiego wyrwała mnie z sienkiewiczowsko-grottgerowskiego patriotyzmu, wyleczyła z megalomańskiego poczucia, że Polacy są bardziej cierpiącym i dlatego w jakimś sensie lepszym narodem niż inne – Niemcy, Czesi, Rosjanie, Ukraińcy itd. To obraz, który nosiłem w sobie od wczesnej młodości, a utrwały go lektury Mickiewiczowskich *Dziadów* i mesjanizm, który, o paradoksie!, promowały do spółki PRL-owska szkoła i katolicki Kościół i co akurat przyjmowaliśmy bez zastrzeżeń.

Zamiast więc bezmyślnej miłości do wszystkiego, co polskie, Lipski zaproponował inny, o wiele trudniejszy, bardziej moralnie wymagający model patriotyzmu. Patriotyzm krytyczny, który populistyczna prawica ochrzciła współcześnie „pedagogiką wstydu”.

Lipski każdą bolesną prawdę, każdą rozdrapaną ranę uważał za akt dojrzałego patriotyzmu, za rodzaj przyznania się do odpowiedzialności i własnych grzechów w imię moralnego zdrowia narodu.

Kiedyś „narodowi komuniści”, a dziś rodzimi nacjonaści – przeciwnie, uważają to za akt zdrady, osłabiania moralnego, lżenia i poniżania. Wybierają wyparcie i atak na posłańców złych wiadomości, w tym wypadku krytycznych historyków, którzy pracują w osamotnieniu i podlegają miażdżącej presji większości, a niekiedy i własnego państwa. To w szczególności dotyczy polskich historyków Holocaustu, którzy badają zaniechania Polaków, przyczynienie się do Zagłady lub współudział w niej.

Otóż tylko naród słaby i wątpliwie moralnie przewraca się pod wpływem bolesnej prawdy o sobie. Patriotyzm krytyczny jest więc patriotyzmem odwagi.

W tekście z 1985 roku *Moralność a patriotyzm* Lipski pisał wprost, że „sama przynależność do narodu jest faktem obojętnym moralnie. Bycie Polakiem nie jest żadną kwalifikacją moralną. Nie jest lepiej moralnie być Polakiem niż Niemcem – ani odwrotnie. Przynależność do narodu pociąga natomiast za sobą zobowiązania moralne. Jest to zobowiązanie do solidarności zbiorowej”.

Zaproponował ojczyznę inkluzyjną dla innych narodowości, dla różnych grup etnicznych i różnych wyznań. Zaproponował krytyczną refleksję historyczną, pamięć o tym, że nie tylko sami byliśmy ofiarami, ale też, że innym narodom wyrządziliśmy krzywdy: Żydom, Niemcom, Ukraińcom czy Białorusinom. Lipski uważa nieustanne rozliczenia z własnymi dziejami za nieodłączny składnik tego, co wzniosłe nazywamy „miłością do ojczyzny”. Tych słów od Lipskiego jednak nie usłyszymy, bo, jak pisał Jan Kasprowicz, którego twórczość Lipski zawodowo badał: „Rzadko na moich wargach/ Niech dziś to warga ma wyzna/ Jawi się krwią przepojony,/ Najdroższy wyraz: Ojczyzna./ Widziałem, jak się na rynkach/ Gromadzą kupcykowie,/ Licytujący się wzajem,/ Kto Ją najgłośniej wypowie./ Widziałem, jak między ludźmi/ Ten się urządza najtaniej,/ Jak poklask zdobywa i rentę,/ Kto krzyczy, iż żyje dla Niej”. Pod tym względem od czasów Kasprowicza nic się nie zmieniło.

Swój stosunek do ojczyzny Lipski zaświadczał czynami, które i tak nie uchroniły go od zarzutów, że nie dość ją kocha, że lży ją i poniża, i sprzedaje Niemcom...



Jako harcerz Szarych Szeregów uczestniczył w małym sabotażu w ramach akcji „Wawer”. Jako siedemnastolatek przeszedł do batalionu „Baszta” AK. W powstaniu warszawskim walczył na Mokotowie. Brał

udział w licznych akcjach bojowych. Odpierał atak czołgu na ul. Stachewicza, uczestniczył w natarciu na Królikarnię. Nigdy nie popadał w powstańczą tromtadrację. Nie celebrował bohaterstwa. W rozmowie z Jackiem Trznadlem wyznał rzecz zaskakującą: „Najbardziej sobie cenię akcję, nie bojową, tylko ewakuację szpitala Elżbietanek. Wynika to być może z mojego charakteru – bardziej mi odpowiada ratowanie ludzi, niż strzelanie czy rzucanie granatami”. Ewakuacja bombardowanego i płonącego szpitala odbyła się 29 sierpnia 1944 roku: „[...] trzeba było z noszami najpierw wskakiwać w ten dosłownie gotujący się teren, na którym bez przerwy prawie wybuchały pociski, a grupy ewakuacyjne były ostrzeliwane przez samoloty z broni pokładowej. Wskakiwało się z noszami do piwnic, gdzie znoszono rannych. Ładowało rannego na nosze, no i trzeba było jakoś wyczekać tę chwilę, kiedy było już po salwie i kiedy pociski już wybuchły, wyskoczyć z noszami jak najszybciej i przebiec w rejon bezpieczniejszy. Niestety było dużo rannych i dużo zabitych [...]. A to, co widziałem, były to rzeczy czasami okropne, szczególnie ludzie palący się przy wybuchu pocisków wypełnionych płynem samozapalającym. Widok takich płonących pochodni zawsze jest najbardziej deprymujący ze wszystkiego, co można sobie wyobrazić”.

Granat strzaskał mu lewą rękę, co spowodowało trwałe inwalidztwo. Za bohaterstwo w walce został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po upadku Mokotowa usiłował się przedostać kanałami do Śródmieścia. Wyszedł z grupą powstańców przy ul. Belgijskiej, tam dostał się do niewoli. Uciekł z transportu do obozu w Pruszkowie.

Mówił Trznadlowi, że po wojnie w gronie przyjaciół postanowili, że „po tym wielkim przelewie krwi i po tym strasliwym zniszczeniu właściwie tego narodu nie stać już na nic więcej, jak na to, żeby próbować odbudować swoje życie. W związku z tym nie włączymy się do konspiracji. Kto ma zawód, ten niech się bierze do pracy, kto dopiero ten zawód ma zdobywać, niech idzie do szkoły lub na studia”. To postanowienie raz tylko się zachwiało. 7 stycznia 1949 roku podczas brutalnego śledztwa UB zamordowało Jana Rodowicza „Anodę” – legendę batalionu „Zośka”. Zastanawiał się wówczas, czy aby ich miejsce nie jest teraz w lesie.

Jacek Trznadel, autor rozmów z pisarzami pod zbiorczym tytułem *Hańba domowa*, próbował dojść przyczyn uwikłania czołówki polskich pisarzy w stalinizm. Lipski do nich nie należał. Przeciwnie, przez dziesięciolecia był inwigilowany i na cenzurowanym. Tym łatwiej byłoby mu wydawać sądy, potępiać i szafować moralnymi ocenami, na które liczył autor *Hańby domowej*. Był przecież z tradycji przedwojennego

PPS – partii niepodległościowej i antykomunistycznej. A jednak nie zrobił tego. Uwiedzenie komunizmem uważał za rodzaj zatrucia moralnego, za infekcję wirusem. Mówił: „amok”. Sam nigdy moralnej busoli nie utracił. Koledze z AK, który w latach pięćdziesiątych próbował racjonalizować sowiecki mord na polskich oficerach w Katyniu, odpowiedział: „Jurku, to tak można ludziom związanym drutem kolczastym po kolei strzelać w tył głowy, bezbronnym ludziom, to tak można?! Jurek wtedy zbladł i powiedział: nie, nie można”.



Lipski uważał powstanie warszawskie za absurd, ale wziął w nim udział. Pamięć o daremnie przelanej krwi towarzyszyła mu do końca życia. W działalności opozycyjnej nie chciał więc przekroczyć tej granicy, która mogłaby się skończyć podobną tragedią. Jednak – co za paradoks – uczestniczył w każdej niemal opozycyjnej wobec PRL „awanturze”, poczynawszy od Klubu Krzywego Koła, którego był współzałożycielem, przez Październik, „Po Prostu”, liczne listy protestacyjne, na przykład List 34 przeciw cenzurze, Marzec '68, KOR, Latające Uniwersytety, „Solidarność”, strajk w stanie wojennym w zakładach Ursus, na Okrągłym Stole skończywszy.

Uważał, że należy na władzę wywierać nieustającą presję społeczną i szukać luk. Budować niezależne, demokratyczne organizacje. Gdzie się dało, tam próbował pozytywnie poszerzać granice wolności. Pracował w Państwowym Instytucie Wydawniczym i Instytucie Badań Literackich. Tam zainicjował pierwsze powojenne wydanie dzieł Gombrowicza i Witkacego. Przez kilkadziesiąt lat podlegał ubeckiej inwigilacji. To były nieustanne przeszukania, które odzierały życie rodzinne z prywatności, podsłuchy, zatrzymania na 48 godzin, wyrzucanie z pracy i areszty. W stanie wojennym w poczuciu solidarności ze współoskarżonymi powrócił z leczenia po operacji serca w Londynie do PRL, gdzie czekało go mokotowskie więzienie i proces. W środowisku nazywany był „prezydentem opozycji”. Nie bez powodu. Satyryk Janusz Szpotański umieścił akcję swej opery *Cisi i gęgacze, czyli bal u prezydenta* między innymi w mieszkaniu Lipskiego. Cisi to oczywiście bezpieka, a gęgacze – rozdiskutowani opozycyjni intelektualiści, pośród których największym gęgaczem był Jan Józef Lipski. Nie było więc opozycji demokratycznej w PRL bez Jana Józefa Lipskiego. Wszystko to przy chorym sercu, balansując między życiem a śmiercią.

Adam Michnik wspominał: „Przed laty ktoś przyszedł do Janka i powiedział: »Co ty będziesz organizował i podpisywał petycje, przecież

jesteś intelektualistą z prawdziwego zdarzenia, jesteś pisarzem...». Wtedy Janek spokojnie odpowiedział: »Co jesteśmy warci jako pisarze, to się okaże za dziesięć, może za pięćdziesiąt lat, a właśnie teraz się okazuje, co jesteśmy warci jako ludzie«.



Kiedyś Jan Józef Lipski, który doświadczył tragizmu historii, próbował odwieść Jacka Kuronia od inicjatywy Listu 59 przeciw zmianom w Konstytucji PRL, zwłaszcza wpisaniu do niej kierowniczej roli partii i wieczystego sojuszu z ZSRR. Lipski twierdził, że „to zły pomysł, że może wydarzyć się coś, nad czym nie zapanujemy”, i że „on pamięta, jak płonęła Warszawa”.

– To znaczy, że ty, Janek, nie podpisujesz? – zapytał Kuroń.

– Ja tego nie powiedziałem – odrzekł Lipski. – Bo jeśli ty się zdecydujesz robić ten list, to ja go podpiszę! Gdy szedłem do powstania, to wiedziałem, że to jest beznadziejna impreza, ale są sytuacje, że jak inni idą, to trzeba iść.

Podobnie było przy zakładaniu KOR. Mimo opinii, że „to szaleństwo”, był w ścisłym gronie jego założycieli. Będąc łącznikiem między różnymi środowiskami, odegrał niezwykle ważną rolę. Ufało mu wielu: środowisko „Czarnej Jedyńki” i środowisko pomarcowej młodzieży dawnych drużyn walterowskich skupionych wokół Jacka Kuronia, i byli żołnierze Armii Krajowej, i otwarcy katolicy z warszawskiego KIK-u, i starszyzna z dawnego PPS, i wreszcie luminarze świata nauki i literatury.

To Lipski podsunął młodemu Michnikowi ideę utworzenia Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności. „W ten sposób z piętnastolatka [...] przeobraziłem się w groźnego wroga ustroju. [...] Pomysł Jana Józefa przeraził partyjnych notabli. Nawet Władysław Gomułka grzmiał na plenum KC PZPR przeciw tej strasznej, uczniowskiej kontrewolucji. Jan Józef był inspiratorem znakomitym: potrafił skłonić do refleksji, zapalić do pomysłu, ale nigdy nie próbował nic narzucać czy kierować z ukrycia” – wspomina Michnik.

Zaproponował też coś więcej: „Przed marcem [19]68 roku wszyscy byliśmy trochę jak bezdomne dzieci, szukające języka dla artykulacji swojego buntu – wspomina Adam Michnik. – Nie chcieliśmy już mówić językiem partyjnego i marksistowskiego rewizjonizmu, a innego języka dla naszej opozycyjności nie znaliśmy. Jan Józef był przeto kimś bezcennym – to on wypracowywał język obywatelskiego nieposłuszeństwa zespolonego z poczuciem odpowiedzialności”.



Nie było mi dane poznać go bliżej. Złożyły się na to zarówno kwestie metrykalne, jak i geograficzne. Widziałem go kilka razy na spotkaniach Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Na ogół odbywały się w salach parafialnych, potem w miejscach bardziej świeckich. Siwy, o niezwyklej łagodności, siadał zazwyczaj w bocznych ławach. Z rzadka zabierał głos, a gdy już zabrał, to bił od niego bardzo niepraktyczny idealizm wsparty wielką moralną siłą. Były to lata 1988–1989. Trwały przygotowania do Okrągłego Stołu. Debatowano z grubsza o tym, jak wykołegować komunistów. Tymczasem Jan Józef Lipski przewidywał nadciągającą rewolucję rynkową, bał się wyrzeczeń, które świat pracy będzie musiał ponieść za lata komunizmu, bał się wysokiej ceny transformacji. Już od 1987 roku zabiegał o odrodzenie Polskiej Partii Socjalistycznej – kontynuatorki przedwojennej PPS. Będąc w Londynie, nawiązał przyjacielską relację z przywódcami dawnego PPS – Adamem i Lidią Ciołkoszami. Jednak nie był to czas, w którym na słowo „socjalizm” ludziom tak jak Janowi Józefowi Lipskiemu drgałoby serce. Właśnie wychodziliśmy z socjalizmu. Realnego socjalizmu. I niewielu było chętnych na kolejny socjalistyczny eksperyment. Partia, owszem, powstała, Lipski został przewodniczącym rady naczelnej. Szybko jednak się podzieliła, potem znów zjednoczyła i w końcu rozpadła. Jeśli napiszę, że Jan Józef Lipski nie nadawał się do typowo partyjnej roboty, gdzie ścierają się ludzkie ambicje i gdzie trzeba wybierać mniejsze zło, a przyjaciół wystawiać do wiatru – to uważam, że jest to wobec niego komplement. W tym znaczeniu Jan Lipski nie był politykiem, a jeśli chciałby za takiego uchodzić – to byłby politykiem fatalnym. Rzeczywiście jedyna próba par excellence polityczna – wskrzeszenia PPS – zakończyła się porażką.

Nadeszły wybory 4 czerwca 1989 roku. Jan Józef Lipski kandydował do Senatu z Radomia. Z tego samego Radomia, dla którego w 1976 roku organizował pomoc prześladowanym robotnikom i ich rodzinom. Ta właśnie pomoc dała początek Komitetowi Obrony Robotników, w którym Lipski był w ścisłej piątce założycieli. Napisał zresztą później historię KOR-u.

Formuła Komitetu była rewolucyjna w tym znaczeniu, że nikt wcześniej nie zdecydował się na jawną, opozycyjną wobec władzy działalność. Nikt z Komitetu przed bezpieczeńiem się nie ukrywał, komunikaty KOR-u były podawane do publicznej wiadomości, podobnie jak domowe adresy członków.

Jacek Kuroń wspominał, że jeśli cokolwiek w opozycji się działo, to Lipski tam był: „Gdy mnie aresztowali, Lipski powiedział, że wszystko

bierze na siebie, materialną pomoc rodzinie, adwokata. Wówczas zrozumiałem, że Jan Józef to jest symbol, uosobienie tego, czym właśnie KOR był. Przecież chodziło właśnie o to, by nikogo nie zostawić samego”.



Wróćę jeszcze do Radomia w roku 1989. Przed wyborami 4 czerwca Komitet Obywatelski Ziemi Radomskiej poparł wprawdzie Jana Józefa Lipskiego, ale wystawił jednocześnie kandydata wobec niego konkurencyjnego – Jana Pajaka, popieranego przez miejscowego biskupa Edwarda Materskiego i Klub Inteligencji Katolickiej. Dlaczego rozproszono solidarnościowe siły? Cóż, Lipski był agnostykiem. Lipski był socjalistą. Lipski był niesterowalny. Lipski wreszcie był masonem, chciał rozdziału Kościoła od państwa, no i był heretykiem, bo uważał, że socjalizm jest „wytworem etyki chrześcijańskiej znajdującej się u podstaw kultury europejskiej, wytworem pozytywnego reagowania na przykazanie miłości bliźniego”.

To trochę zbyt dużo jak na wytrzymałość jednego biskupa, który postanowił zrobić wszystko, by to nie Lipski został senatorem. Skutek nie kazał na siebie długo czekać. W pierwszej turze Jan Józef dostał 47,5 proc. głosów. Potrzebna była druga tura. Po nieprzyjemnej kampanii, w której atakowano go jako „uzurpatora żydokomuny i obrońcę Niemca”, Lipski chciał się honorowo wycofać. Jednak w drugiej turze przeszedł już gładko. Dziś jeszcze czytam w Internecie niechętnie wobec niego opinie: „A co takiego zrobił Lipski dla Radomia?”.

Jak na to odpowiedzieć? Chyba tylko jęknąć: Mój Boże...

Wierzył w lepszą twarz polskiego Kościoła. Niestety, bez wzajemności. W 1990 roku Ksiądz Prymas zaprosił na herbatkę partie nawiązujące do tradycji socjaldemokratycznej, ale tylko te wywodzące się z PZPR, czyli Socjaldemokrację RP Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera oraz Polską Unię Socjaldemokratyczną Tadeusza Fiszbacha. Lipskiego z odrodzonego właśnie przedwojennego PPS prymas Glemp nie zaprosił, czym Jan Józef poczuł się urażony. Był antykomunistą i uważał, że PZPR po prostu ukradło PPS-owi socjalizm, wchłonęło go i zniszczyło, a działaczy zamęczyło w więzieniach. W swoim idealizmie jednak nie zauważył, że stojąc na czele szlachetnej, dopiero odrodzonej małej partii, niewiele miał do zaoferowania Kościołowi. Dawni „właściciele Polski Ludowej” – jak zwykł mówić o komunistach – mieli do zaoferowania nieporównanie więcej. Szybko na przykład powołali komisję wspólną do spraw zwrotu mienia kościelnego itd., itp.

Nieodwzajemniona atencja Lipskiego do Kościoła znalazła przegnębiający finał. Jan Józef chciał, by nad jego trumną odprawiono mszę żałobną. Nie spełniono jednak ostatniej woli zmarłego. Kościół odmówił. Ten „świecki święty”, ten „chrześcijanin agnostyk” był bliżej Boga niż niejeden biskup. Zresztą nie było to aż takie trudne.



Refleksja o dwóch ojczyznach towarzyszyła Lipskiemu jeszcze przed marcem roku 1968, jakby przeczuwał, że trucizna nacjonalizmu i antysemityzmu nadal zakaża polską duszę, że płynie niczym podziemna rzeka w kraju realnego socjalizmu. Nie mylił się.

Już w połowie lat pięćdziesiątych na podstawie prawicowej publicystyki lat trzydziestych przeprowadził dogłębną analizę Obozu Narodowo-Radykalnego, organizacji młodzieży w wielkiej mierze akademickiej, skupionej wokół Bolesława Piaseckiego i pisma „Falanga”. Był to najbardziej skrajny odłam polskiego nacjonalizmu, czerpiący inspirację z włoskiego faszystyzmu i niekryjący zachwytów wobec nazistowskich Niemiec. Było to środowisko totalne i głoszące totalizm, zwarte, hierarchiczne, lojalne wobec wodza, brutalne w języku i działaniu: żyłетки, pałki, kastety, noże, pistolety – burdy w salach wykładowych, napaści na żydowskich studentów nieprzestrzegających getta ławkowego, demolowanie żydowskich sklepów. Falanga odpowiedzialna była za kilka zabójstw, w tym żydowskiego chłopca idącego na czele pochodu Bundu. Falangiści nosili opaski z symbolem zaciśniętej dłoni dzierżącej miecz Chrobrego. Można je i dziś zobaczyć na marszach skrajnej prawicy. To właśnie w środowisku Bolesława Piaseckiego narodziła się koncepcja „Katolickiego Państwa Narodu Polskiego”.

Lipski cytował, analizował, komentował: „Chociaż zapiekły antysemityzm wspólny był dla całej narodowej prawicy, środowisko »Falangi« wyróżniało się radykalizmem. Oenerowska prasa nasycona jest niezwykłą odrazą wobec Żydów: przedstawia ich jako demonicznego wroga, robactwo żerujące na organizmie polskiego narodu”. Publicyści spod znaku ręki z mieczem wzywali do okrucieństwa i napawali się wizją zagłady żydowskiego świata. Ich przedwojenne artykuły przejmują dziś grozą.

„Nalewki czekają dezynfekcji” – pisała aluzyjnie „Falanga” w 1938 roku. „Całe domy, bloki, ulice trzeba burzyć [...]. I wrzątku nie żałować, bo to wszystko brudne, zaplute, zażydzone i parszywe [...]. A jeśli te wszystkie czarne republiki, karaluchy, demokraty chałatowe

i pluskwy zechcą rozleźć się po całej stolicy – dam jeszcze jedną radę: otoczyć Nalewki wysokim murem”.

„Pięć lat po napisaniu tego nasyczonego straszliwą, wizjonerską nienawiścią felietonu – podsumowuje Lipski – getto warszawskie, otoczone wysokim murem, było już morzem gruzów. Wrzątku nie żałowano – a na resztki »czarnych republikanów, karaluchów, demokratów chałatowych i pluskiew«, które zdołały mimo murów rozleźć się po całej stolicy – polowały watahy szmalcowników, z których niejeden był zapewne przed wojną czytelnikiem »Falangi«. Taki to los zgotować chcieliby swym bliźnim polscy hitlerowcy, by zbudować Katolickie Państwo Narodu Polskiego”.

Badania Lipskiego byłyby zajęciem historycznym i czysto przyczynkarskim, gdyby nie to, że Bolesław Piasecki, wódz Falangi aresztowany przez NKWD w listopadzie 1944 roku, zamiast trafić do dołu z wapnem, zaproponował Sowiecom, że wykona dla nich zadanie „przekonania polskiego Kościoła do socjalizmu”. Generał Iwan Aleksandrowicz Sierow, współodpowiedzialny za mord polskich oficerów w Katyniu i podstępne aresztowanie 16 przywódców Polski Podziemnej, przystał na propozycję „młodego, zdolnego chłopca”. Piasecki stanął więc na czele stowarzyszenia PAX, które w imieniu PZPR miało prowadzić „dialog” z kardynałem Wyszyńskim, czyli podjął się systemowego niszczenia Kościoła. Piasecki w 1956 roku popierał twardogłowych z Natolina. Przetrwał jednak bez szwanku czas październikowej odwilży, o czym zdecydował sam Gomułka. Wówczas wśród liberalnej inteligencji odżyły dawne lęki. Zastanawiano się, czy oto nie nadchodzi mariaż komunistycznej dyktatury z faszystowską ideologią. Czesław Miłosz pisał w *Traktacie poetyckim*: „Jest ONR-u spadkobiercą partia”. Jednak już podczas marcowej rozprawy z Żydami Piasecki poczuł się jak ryba w wodzie, mając wpływ na partyjny beton – moczarowców. Tak właśnie umacniał się sojusz komunistyczno-faszystowski, którego Lipski obawiał się najbardziej.

Już pierwsze odczyty o ONR Falandze i Piaseckim w Klubie Krzywego Koła pod koniec lat pięćdziesiątych wzbudziły wściekłość koncesjonowanych katolików PAX. Publikacje o radykalnej prawicy zatrzymywała cenzura. Lipski stracił wtedy pracę w PIW-ie. Całość jako *Idea Katolickiego Państwa Narodu Polskiego – Zarys ideologii ONR „Falanga”* ukazała się dopiero w wolnej Polsce. W sumie trudno się cenzurze dziwić. Cytaty z faszystowskiej prasy za bardzo przypominały realia PRL. Jeszcze raz się okazało, że totalizm brunatny i totalizm czerwony tak bardzo są do siebie podobne: jeden naród, jedna partia, jeden wódz.

„Jan Józef sytuował się bardzo świadomie jako krytyk dwóch ekstremizmów. Komunizmu i czegoś, co nazwałbym ekstremizmem narodowo-totalitarnym – wspomina Adam Michnik. – Przewidział, że ten temat stanie się znów szalenie aktualny i że będziemy czytali jego analizy pism twórców związanych z obozem narodowo-radykałnym jako teksty współczesne. Dziś znowu pojawiają się tendencje, których Jan Józef tak bardzo się bał. Kiedyś powiedział mi, że jemu właściwie wszystko jedno – walka ras czy walka klas. Dlatego że i w jednym, i w drugim jest rys nienawiści do człowieka o innej kondycji”.



Czas karnawału „Solidarności” ujawnił obok jasnej demokratycznej twarzy ruchu „Solidarności” jej nacjonalistyczny i antysemicki rewers.

Łukasz Garbał, biograf Jana Józefa Lipskiego i autor opracowania jego pism politycznych sugeruje, że moment, w którym Jan Józef napisał *Dwie ojczyzny...*, nie jest przypadkowy. To wówczas właśnie, w 1981 roku, powstało antysemickie Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”, zawiązane przez pogrobowców Mieczysława Moczara, stowarzyszenie czerpiące ze spuścizny prosowieckiej i narodowej. Synteza dwóch skrajności, które Lipski uważał za dwie największe trucizny moralne XX wieku – komunizmu i faszyzmu.

W rocznicę marca 1968 na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się sesja zorganizowana przez uczelnianą „Solidarność”, podczas której wystąpienie miał uczestnik tamtych wydarzeń, relegowany wtedy z uczelni Adam Michnik. Odpowiedzią Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald” był wiec pod Ministerstwem Spraw Wewnętrznych przy ul. Koszykowej, którego celem tylko z pozoru było złożenie hołdu ofiarom stalinizmu, a tak naprawdę ujawnienie nazwisk sądowych zbrodniarzy i ich rodowodu, czyli żydowskiego pochodzenia. Głównym motywem mówców było potępienie stalinowskich „syjonistów”, żydowskich szowinistów jako sprawców i winnych całego zła w najnowszej historii Polski. Przemawiający ostrzegali Polaków przed farbowanymi lisami w osobach dawnych komandosów i emigrantów Marca '68 oraz tych z Komitetu Obrony Robotników. Oczywiście „Grunwald” w swych publikacjach zadbał też o przypomnienie sylwetki Stefana Michnika, przyrodniego brata Adama, co później latami gorliwie kontynuowały formacje uważające się za patriotyczne i antykomunistyczne.

Już niebawem, podczas I Krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność”, doszło do skandalu w związku z zaproponowaną przez delegatów Regionu Ziemi Radomskiej uchwałą, która miała być

podziękowaniem dla rozwiązującego się właśnie Komitetu Obrony Robotników. Nie ma powodu wnikać tu w szczegóły. Dość, że pomysł spotkał się z protestem części delegatów Regionu Mazowsze z frakcji tak zwanych prawdziwych Polaków, z Pawłem Niezgodzkiem na czele, który złożył do prezydium zjazdu własny kontrprojekt. Na prośbę Lipskiego, który w tej atmosferze nie życzył już sobie żadnych podziękowań, Region Ziemi Radomskiej wniosek uchwały wycofał. Jednak następnego dnia dla odmiany Region Małopolska złożył własny dziękczynny wobec KOR-u projekt uchwały. Doszło więc do gorszącej plenarnej debaty. Jan Józef Lipski na próżno czekał pod zjazdową trybuną na możliwość zabrania głosu. Niestety, ubiegł go Niezgodzki. Stres i upokorzenie sprawiły, że przypłacił to zawałem serca. Z gdańskiej Hali Oliwii przewieziono go karetką wprost do szpitala Akademii Medycznej.

Już stamtąd Lipski napisał list do delegatów, w którym dzielił się refleksją, że „bardzo duży procent delegatów uważa, iż cztery ciężkie dla moich przyjaciół i dla mnie lata – jeszcze cięższe dla naszych rodzin – to lata, które zmarnowaliśmy, gdyż jako członkowie KOR robiliśmy różne rzeczy niemające nic wspólnego ani z potrzebami Polski i robotników, ani z historią i genezą »Solidarności«. Muszę stwierdzić, że choćby tak sądziła większość delegatów, i tak w swoim sumieniu nie mógłbym z tym się zgodzić. Niemniej jest to dla mnie ciężki cios moralny, z którego trudno już będzie mi się pozbierać [...]. Nie wytrzymuję dziś atmosfery nienawiści i podstępów, nie wytrzymuję hipokryzji i faryzeizmu”.



Z czasem najbardziej zajadłymi przeciwnikami Lipskiego okazali się nie ubecy, którzy chcieli go przejechać samochodem, ale ludzie, których uważał „jeśli nie za przyjaciół – to przynajmniej za towarzyszy walki”.

Pod koniec „Solidarności”, jesienią 1981 roku, Lipski znalazł się w centrum zaostających się sporów o kształt opozycji wywodzącej się z KOR-u. O emocjach niech zaświadczy cytat, Lipski mówił wtedy: „Mnie, żołnierzowi AK, który nigdy nie zmienił poglądu, iż Polska winna być niepodległa czy to od Niemiec, czy to od ZSRR, powiedzieć, że nie jestem w nurcie niepodległościowym tylko dlatego, że nie jestem z Macierewiczem, jest oburzające. Oburza mnie to tak dalece, że gdybym był człowiekiem bardziej porywczym, to prawdopodobnie mogłoby dojść między nami do rękoczynów”. Jak widać, tamte podziały były już prefiguracją dzisiejszych.

Wydawać by się mogło, że najbardziej demokratyczny czas w PRL, czas solidarnościowego triumfu, narodowej fiesty, jest najmniej odpowiedni, by „rozdrapywać narodowe rany, by nie zabiżniały się błoną podłości”. Wszak w sumie było pięknie i po co to psuć przypominaniem naszych mało chwalebnych uczynków, lepiej napawać się chwilą. Tymczasem Jan Józef Lipski ostrzegał: nie popadajcie w megalomanię, uważajcie na zawrót głowy, bądźcie ostrożni, bo za rogiem czai się polski kołtun. Pisał: „Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową kampanię »patriotyzmu« – jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwizytornią miłą przeważnie Polakowi – czają się najczęściej cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze: na ułańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę”. „Jest to coś na kształt bagniska, traf tam, a coraz głębiej wciska” – pisze Miłosz w *Traktacie moralnym*.



Ze wszystkich cech Jana Józefa Lipskiego Jacek Kuroń najwyżej cenił jego „intelektualną odwagę w walce przeciw ksenofobii, nacjonalizmowi, antysemityzmowi, antyukrainizmowi, antygermanizmowi”. Kuroń dorzuca niezwykle ważne zdanie: „[...] przecież występował nie tylko przeciw władzy, ale wobec olbrzymiej rzeszy ludzi”. W domyśle – także przeciw swoim. I tu leży istota rzeczy. Konfrontując się z polskim nacjonalizmem, z megalomanią, musiał wchodzić w konflikt także z ludźmi szeroko pojętego antykomunistycznego obozu opozycji demokratycznej, z wieloma kolegami z AK, z patriotami, którzy ów patriotyzm w najlepszej wierze pojmowali inaczej niż on.

W szczególności dotyczyło to różnic w postrzeganiu naszej historii. Lipski uważał, że patriotyzm to nie tylko szacunek i miłość do tradycji. To także nieubłagana selekcja elementów tej tradycji i obowiązek intelektualnego wysiłku, by nie utrwaląc fałszywych moralnie mitów narodowych, które karmią megalomanię narodową, by nie przemilczać ciemnych plam własnej historii.

Widzę tu ciekawą zbieżność poglądów Lipskiego z konserwatywną szkołą historyczną krakowskich stańczyków, a zwłaszcza z poglądami Józefa Szujskiego, który pouczał, że „fałszywa historia jest matką fałszywej polityki”, a przyczyn upadku Rzeczypospolitej szukał w nas samych, a zwłaszcza w moralnej degradacji narodowych elit.

Lipski w swym eseju robi obrachunek z naszymi fałszywymi wyobrażeniami wobec innych narodów, którym my pamiętamy

wyrządzone nam krzywdy, ale o krzywdach przez nas wyrządzonych pamiętać nie chcemy. Pisz o wszystkich naszych sąsiedzkich narodach, pisze o „narodzie w narodzie”, czyli o polskich Żydach. Największe wrażenie zrobił na mnie wywód, w którym charakteryzuje nasz stosunek do „odwiecznych wrogów”, do Niemców.



Jan Józef Lipski, odznaczony Krzyżem Walecznych za męstwo, ranny w powstaniu warszawskim, inwalida wojenny, nie ma wobec oprawców swojej ojczyzny cienia resentymentu, a cały rozdział napisany jest w duchu „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”.

Tu właśnie Lipski szczególnie wystawił się na ataki reżimowej prasy, do czego przywykł. Zarzucano mu wspieranie ziomkostw i rewanżystów niemieckich, relatywizowanie niemieckich win, kwestionowanie naszych praw do Ziem Zachodnich... Można by w nieskończoność rozwijać listę tych propagandowych „zarzutów” formułowanych w złej wierze. Ale Lipski musiał też konfrontować się z opinią „naszych”, na przykład z czytelnikami paryskiej „Kultury”, którzy nie byli w stanie pojąć chrześcijańskiej logiki wybaczenia i miłosierdzia i po prostu odmawiali Lipskiemu patriotyzmu.

Tymczasem myśl autora *Dwóch ojczyzn, dwóch patriotyzmów* była prosta. Pisał Lipski: „[...] choćbyśmy my, Polacy, mieli na sumieniu wobec któregośkolwiek narodu na ziemi maleńką winę historyczną – winniśmy ją sobie wytknąć i, co więcej, przyznać się do niej wobec pokrzywdzonych, a to dla własnego moralnego dobra. Choćby nawet skrzywdzony skrzywdził nas stokrotnie. Natomiast nie można usprawiedliwiać zła komuś wyrządzonego tym, że tamten skrzywdził nas stokroć więcej”.

Innymi słowy – krzywdy wyrządzone nam przez Niemców, choć są nieproporcjonalnie wielkie, nie wymazują krzywd wyrządzonych Niemcom przez Polaków, choćby były małe.

Lipskiemu chodziło o to, co Polacy mieszkający na ziemiach zajętych po Niemcach wyczuwali na każdym kroku. Także mieszkańcy Gdańska, z którego pochodzę. Choć to miasto hanzeatyckie, o bogatej europejskiej i kosmopolitycznej tradycji, należące przez setki lat do polskiej Korony, mimo że w okresie międzywojennym miało status Wolnego Miasta, to w istocie było to miasto niemieckie, z przytłaczającą dominantą ludności niemieckojęzycznej. Kto mieszkał w tym mieście, czuł, że mieszka „po Niemcach”, w ponemieckiej przestrzeni kulturowej.

Wysiedlenie Niemców z ich ziem, mimo że dokonało się z woli zwycięskich mocarstw i mimo że było aktem dziejowej sprawiedliwości, nie musiało być aktem sprawiedliwości indywidualnej. Było mniejszym złem, ale mniejsze zło nie przestaje być złem. Przymusowe wysiedlenie Niemców, zwane przez nich wypędzeniem, było mniejszym złem, ale złem. Napady, grabieże, gwałty polskich szabrowników na bezbronnej niemieckiej ludności przesiedleńczej były złem, a nie wyrównywaniem rachunków. Traktowanie bez szacunku niemieckiego depozytu kulturowego w Polsce było złem. Pamiętam, jak na początku lat siedemdziesiątych za pomocą buldożerów splantowano w Gdańsku poniemieckie cmentarze, zamieniając je w parki. Tak, można powiedzieć, że robiła to „komuna”, ale prawda jest taka, że mało kogo to oburzało. Robiliśmy to my, Polacy, tacy wrażliwi na polski depozyt na Wschodzie, na brukanie naszych polskich cmentarzy w sowieckiej Ukrainie, Białorusi czy na Litwie.



I wreszcie szczególnie ważna wydaje mi się refleksja Lipskiego dotycząca kręgu Białej Róży. Przecież nie wszyscy Niemcy byli gestapowcami i esesmanami. Byli też dobrzy Niemcy. Można powiedzieć, że mało ich było, ale tym większa zasługa tych, którzy bohatersko i straceńczo przeciwstawili się złu. Młodzi chrześcijanie z tajnej organizacji Biała Róża (Weiße Rose) z Monachium podjęli w samym jądrze ciemności najtrudniejszą z walk, walkę przeciw „swoim” w czasie toczącej się wojny. Większość rozrzuconych przez nich antyhitlerowskich ulotek została dostarczona na Gestapo. Po trwającym kilka dni procesie trójka studentów, w tym Sophie Scholl, została zgilotynowana za zdradę III Rzeszy.

Lipski stawia ważne pytanie: Czy bohaterowie z Weiße Rose niegodni są nazwania ich patriotami niemieckimi? Czy byli zdrajcami swego narodu? I odpowiada: „Przeciwnie, to oni ratowali resztki godności i wartości moralnych swego narodu, to oni tworzyli wartości niezbędne dla przyszłych Niemiec. W swych duszach nosili inną ojczyznę niż ta, w której mieli nieszczęście żyć i umrzeć męczeńską śmiercią”.

Trzeba niekiedy wystąpić przeciw własnemu narodowi, by ratować jego godność.

Ofiara kręgu Białej Róży nie poszła na marne. Była jedną z ważnych inspiracji pojednania polsko-niemieckiego, o którym marzył Jan Józef Lipski i które zaczęło się już w 1989 roku za sprawą premiera Tadeusza Mazowieckiego. Słynne spotkanie w Krzyżowej z Helmutem

Kohlem, uścisk pojednania... Wydawało się, że w tej sprawie może być już tylko lepiej.

Niestety, owoce politycznych korzyści wisały nazbyt nisko. Sięgnęła po nie nihilistyczna, autorytarna, antyeuropejska prawica. Łatwiej bowiem grać na ksenofobii i sprawdzonych resentymentach, niż brać na siebie trud pojednania. Kryje się tu zresztą pewien paradoks. Autorką monografii bibliograficznej pism Jana Józefa Lipskiego była jego bliska koleżanka z Instytutu Badań Literackich PAN – Jadwiga Kaczyńska. Jej syn, Lech Kaczyński, jako prezydent RP odznaczył pośmiertnie w 2006 roku Jana Józefa Lipskiego najwyższym polskim odznaczeniem – Orderem Orła Białego. Jarosław Kaczyński zaś jako szef Kancelarii Prezydenta przemawiał w imieniu Lecha Wałęsy na pogrzebie Jana Józefa Lipskiego we wrześniu 1991 roku. Ten sam Jarosław Kaczyński jest w moim odczuciu osobiście odpowiedzialny za wieloletnie i systematyczne zatruwanie polskiego życia publicznego toksynami germanofobii. Oskarża politycznych oponentów o wysługiwanie się Niemcom, twierdzi, że są sługusami Niemiec, że chcą Polskę sprzedać Berlinowi. Tak właśnie wskutek jakiejś moralnej deformacji obraca się w niwecz marzenia chrześcijańskich prometeuszy, takich jak Tadeusz Mazowiecki czy Jan Józef Lipski, którzy szczęśliwie tego nie dożyli.



Dylemat dwóch ojczyzn i dwóch patriotyzmów jeszcze długo nie będzie rozwiązany. Tak jak Janowi Józefowi nie sposób było identyfikować się z patriotyzmem ONR Falangi, PAX-u, Moczara czy Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, tak nam dziś nie sposób podzielać patriotyzmu Braci Kamratów, Konfederacji, Radia Maryja czy pielgrzymujących na Jasną Górę kiboli.

Jak w takim razie pogodzić postulat solidarności z własnym narodem, o którym pisze Lipski, z faktem, że oto istnieją dwie ojczyzny i dwa patriotyzmy?

Lipski ma na to dwojaką odpowiedź. Po pierwsze, „nie zawsze możliwy jest dialog, często sama próba podjęcia go bywa hańbą (jeśli nie jest zwykłą głupotą). Z bohaterami antysemitycznych wybryków [...] dialogu być nie może – ani z tymi, którzy widzą w tej brudnej publicystyce wyraz swych przekonań. Nie mamy z nimi wspólnej ojczyzny ani nie chcemy z nimi mieć w ogóle nic wspólnego”.

Zgoda, zgoda, po stokroć zgoda! Nie odczuwam żadnej wspólnoty ani z Braunem, ani z Bąkiewiczem, Bosakiem, Kowalskim, Michalkiewiczem czy Ziemkiewiczem. Nie odczuwam też wspólnoty z Karolem

Nawrockim, choć nie da się zaprzeczyć, że to rodacy. Rodacy, bo z kolei wyrzucenie ich poza nawias polskości byłoby z jednej strony intelektualną łatwizną, a z drugiej strony fałszem, bo to jedna z twarzy naszego narodu.

Ale, jak pisał Lipski – „[...] między patriotyzmem Słonimskiego, Ossowskich, Jasienicy [...] a »patriotyzmem« filipskich, gontarzów, kąkolów rozciąga się ogromna przestrzeń społeczna; tu znajdują się ci, o których dopiero toczy się walka”. Tak jest i teraz, zwłaszcza w dobie platform społecznościowych, gdzie wszelkie nacjonalistyczne, ksenofobiczne, antysemickie plugawe treści roznoszą się bez przeszkód i zatruwają młode umysły.

Pisał Lipski 45 lat temu: „Nie wolno pod żadnym pozorem zrezygnować z tych wszystkich, którzy zacządzeni są ksenofobią i megalomanią narodową, może jednak nienawiść i pycha nie zdeformowały jeszcze ostatecznie i nieodwracalnie ich umysłów i uczuć. Walka o kształt polskiego patriotyzmu będzie rozstrzygająca dla losów naszego narodu – dla losów moralnych, kulturalnych, politycznych”.

To wezwanie jest nieustająco aktualne, dlatego nie wolno nam opuszczać rąk.

Jarosław Kurski

Korzystałem między innymi:

Jan Józef Lipski, *Idea Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Zarys ideologii ONR „Falanga”*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2016.

Jan Józef Lipski, *Pisma polityczne – wybór*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2011.

Jacek Trznadel, *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*, Instytut Literacki, Paryż 1988.

Łukasz Garbał, *Prezydent opozycji. Krótka biografia Jana Józefa Lipskiego*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2017.

Jan Józef Lipski, *człowiek, który mógłby pozszywać lewicę z prawicą*, Igor Rakowski-Kłós rozmawia z dr. Łukaszem Garbałem, „Gazeta Wyborcza”, 11.09.2021.

Adam Michnik i Antoni Pawlak, *Dwie dusze Jana Józefa, o książce Jana Józefa Lipskiego „Tunika Nessosa”*, „Gazeta Wyborcza”, nr 159, 8.07.1992.

Adam Michnik, *Z defektem polskości...*, „Gazeta Wyborcza”, nr 212, 10.09.1993.

Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy

Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków

Ojczyzna istnieje tylko wtedy, gdy istnieje też obczyzna; nie ma „swoich”, gdy nie ma „obcych”. Od stosunku do „obcych”, bardziej niż od stosunku do „swoich”, zależy kształt patriotyzmu. Jest w tym zawsze coś paradoksalnego, że miłość do kraju i własnego narodu określana być może dopiero przez stosunek do innych krajów i innych narodów, lecz jest to paradoks właściwy wszelkiemu myślowemu i uczuciowemu wyodrębnianiu.

Kim są „swoi”, a kim „obcy”? Czym się różni „mój” kraj od nie mojego? Mój naród od nie mojego?

Nie chodzi w tych pytaniach o jakieś treści opisowe – że „my” mówimy po polsku, a „oni” w innych językach; że żyjemy na przykład w innej strukturze kulturalnej niż „oni” – bo przyjęliśmy chrześcijaństwo w X wieku z Zachodu, bo z Zachodu przyszedł do nas renesans, oświecenie, romantyzm i tak dalej; bo, nawet jeśli uważa ktoś z nas, że największym poetą, jakiego ludzkość wydała, jest Goethe, Dante lub Shakespeare to jednak Mickiewicz i Słowacki jakoś inaczej tkwią w nas (czy my w nich), bo wrosły nam chyba już na zawsze w narodową pamięć lata niewoli i walki o wolność i tak dalej, i tak dalej; że nawet, być może (choć to sporne), cechuje nas w większości coś takiego jak polski charakter narodowy. Rzecz nie w stwierdzeniach opisowych, a w wartościach i ocenach – czy uważamy się za lepszych, czy tylko za innych, czy sądzimy, że w tej inności jest jakaś szczególna wartość (i jaka?); czy uważamy, że przysługują nam z jakiegoś tytułu szczególne prawa i przywileje – a może obowiązki. Zależnie od odpowiedzi na te pytania wyznajemy różne patriotyzmy. W skrajnych wypadkach należymy właściwie do różnych ojczyzn – jeśli ojczyzna to przede

wszystkim dobra duchowe i wartości, a nie tylko fakt takiej, a nie innej przynależności etnicznej.

Świat wartości, z którego perspektywy trzeba spojrzeć na zagadnienie ojczyzny to przede wszystkim, choć nie wyłącznie, świat wartości moralnych. Pojęcia etyczne naszego kręgu kulturowego zostały ukształtowane głównie przez chrześcijaństwo. Wierzących i niewierzących – uformował nas nakaz miłości bliźniego, podstawowy drogowskaz moralny naszej kultury. Nie chciałbym przez to odbierać wagi dorobkowi moralnemu innych religii i światopoglądów. Judaizm, z którego wyszło chrześcijaństwo, islam, buddyzm, hinduizm czy najbardziej laicka z nich kultura etyczna konfucjanizmu – dopracowały się godnego szacunku dorobku w dziedzinie etyki. Myśliciele naszego kręgu kulturowego, reprezentujący nurt areligijny, laicki, również wzbogacili naszą refleksję etyczną i świadomość. Jednak wychowało nas przede wszystkim chrześcijaństwo – i przy podstawowych ideach tej etyki chcemy pozostać.

Sądzę, że szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego co obce, egoizm narodowy nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego. W przypadku patriotyzmu natomiast jest to możliwe. Tak jak szczególna miłość w rodzinie nie musi i nie powinna przeszkadzać miłości bliźniego, tak i umiłowanie wspólnoty narodowej winno być podporządkowane tej samej nadrzędnej normie moralnej. Patriotyzm jest z miłości – i do miłości ma prowadzić – jakkolwiek inna jego forma jest deformacją etyczną.

„Miłość do wszystkiego co polskie” – to częsta formuła narodowej, „patriotycznej” głupoty. Bo „polski” był przecież i ONR, i pogromy we Lwowie, Przytyku i Kielcach, i getto ławkowe, i pacyfikacje wsi ukraińskich, i Brześć, i Bereza, i obóz w Jabłonninie w 1920 roku, by poprzestać na dwudziestu zaledwie latach naszej historii. Patriotyzm to nie tylko szacunek i miłość do tradycji, lecz również nieubłagana selekcja elementów tej tradycji, obowiązek intelektualnego wysiłku. Wina za fałszywą ocenę przeszłości, za utrwalanie fałszywych moralnie mitów narodowych, za służące megalomanii narodowej przemilczanie ciemnych plam własnej historii jest zapewne mniejsza z moralnego punktu widzenia, niż wyrządzanie zła bliźnim, lecz przecież jest źródłem dzisiejszego zła i zła przyszłego.

Nie lubimy przypominać sobie podboju ogniem i mieczem Jadźwignów – to psułoby nam obraz narodu polskiego, który rzekomo nikogo nigdy nie podbijał. Nie lubimy umieszczać w naszych kompendiach historycznych informacji o wymordowaniu załogi Wielkich Łuków

po kapitulacji – bo to niezgodne z rycersko-humanitarnym stereotypem naszych dziejów. Zapominamy o metodach zwalczania buntów i powstań ukraińskich, o rajdzie naszego bohatera narodowego Stefana Czarnieckiego mordującego wieś za wsią, nie wyłączając niemowląt, o obłędnym kołowrocie wzajemnych odwetów i kontrodwetów, stanowiących od paruset lat ponurą treść historii polsko-ukraińskiej. Szczycimy się polską tolerancją, by półgębkiem tylko wspominać, kiedy i jak się skończyła. Szczycimy się tragicznym udziałem polskich żołnierzy w kampanii hiszpańskiej Napoleona – tak jakby Somosierra, rozgromienie żołnierzy broniących niepodległości swojej ojczyzny, było kartą chwały, a staramy się zrobić, co można, by zapomnieć o hańbie Saragossy lub ją zakłamać. O niektórych ciemnych kartach dwudziestolecia międzywojennego już wspominałem.

Nie wolno nam tak postępować! Każde przemilczenie staje się oliwą do ognia megalomanii narodowej, jest chorobą, każde uchYLENIE się od uznania własnych win – jest niszczeniem etosu narodowego.

Mamy w polskiej literaturze historycznej dwie tradycje: jedna służy megalomanii narodowej, druga to tradycja Żeromskiego, gorzka tradycja obrachunków. Saragossa jest tu tragedią i hańbą narodową zarazem; zaborca austriacki przychodzi z ustawodawstwem niosącym pewien postęp socjalny, chłop polski z okresu powstania styczniowego pokazany jest z naturalistyczną prawdą, jakżeż daleką od „patriotycznych” malowanek; Polska niepodległa, jej aparat władzy zostają straszliwie, i ostrzegawczo, oskarżone. Musimy wrócić do Żeromskiego i patriotyzmu, którego wyrazem jest jego twórczość. Trzeba paradoksów lat sześćdziesiątych w PRL, by Andrzej Wajda został z pozycji „patriotycznych” zaatakowany właśnie za to, co znalazł u Żeromskiego, by twórczość autora *Przedwiośnia* i *Rozdziobią nas kruki, wrony* stała się tematem czytanek historycznoliterackich w okresie ofensywy moczarystwu.

Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową kampanię „patriotyzmu”, jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwizytornią, miłą przeważnie Polakowi, czają się najczęściej cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze – na ułańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę. „Jest to coś na kształt bagniska, traf tam, a coraz głębiej wciska” – pisze Miłosz w *Traktacie moralnym*.

Ojczyzniano-patriotycznej frazeologii w prasie oficjalnej towarzyszy od wielu już lat nagonka na tych, którzy ośmielają się psuć malowanki i panoramki dla głuptasków. Utkwił mi w pamięci szczególnie atak na *Wariacje pocztowe* Kazimierza Brandysa. Jest to jedna

z najambitniejszych i najmądrzejszych książek tego autora. Cała sfera bardzo „patriotycznych” dziennikarzy i krytyków rzuciła się na niego, jako na tego, który ośmiesza i wyszydza naszą przeszłość. Było to zdumiewające. Brandys w sposób przejmujący przedstawił los jednej polskiej rodziny, która w każdym kolejnym pokoleniu zrywa się wraz z narodem do walki o niepodległość ojczyzny – i w każdym pokoleniu ponosi klęskę, strącającą pokonanych na dno nędzy, wykołajającą społecznie i psychicznie. Taka właśnie jest tragiczna prawda o losie, jeśli nie całego narodu – to przynajmniej elity niosącej w sobie jego samoświadomość. Czytałem tę powieść tak, jak czyta się relacje historyków o kolejnych klęskach narodowych; prawie byłem chory podczas lektury, jeszcze raz przeżywałem tragizm naszych dziejów. I potem dowiaduję się, że autor *Wariacji pocztowych* ośmiesza i wyszydza. To zależy, jakie kto ma poczucie humoru i jakiego obszaru ono dotyczy.

Kampanię tę – i inne podobne – prowadziły z reguły te same piśma i przeważnie te same pióra, które poznaliśmy w pamiętnym roku 1968. Lokaj sowiecki przebrał się w mundur ułański...

Tu trzeba się zastanowić, jaką funkcję spełniać mają te maskarady „ułańów rakowieckich”? [Komentarz dla czytelników niezających Warszawy: przy ulicy Rakowieckiej mieści się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.]. Kogo mają ogłupić, kogo zwabić na „patriotyczną” przynętę, kogo zatruć jadem szowinizmu? Co to ma wspólnego z miłością ojczyzny? I jakiej ojczyzny?

Stare hasło „Bij Żyda. *Spasaj Rassiju*” odżyło na naszych oczach... Jak za cara, jak za ochrony. Nawet metody w swej istocie niewiele się zmieniły, choć kamuflaż „patriotyczny” na tę skalę i w tym stylu jest tu czymś nowym. ONR też był „patriotyczny” – tym razem jednak jest to antysemityzm państwowy niesuwerennego państwa. *Spasaj Rassiju*.

Gdyby to była sprawa tylko prasy oficjalnej, gdyby nikt nie łapał się na tę przynętę „patriotyczną”, gdyby nie było w tradycjach polskich tych wątków, które nagle jak czuły kamerton zaczynają współdźwięczeć – nie byłoby o czym pisać ani z czym polemizować. Ale tak niestety nie jest. Akcenty megalomanii narodowej i ksenofobii znaleźć można też w prasie nieocenzurowanej, a więc autentycznej.

Trzeba tu wyraźnie i jasno powiedzieć – nie zawsze możliwy jest dialog, często sama próba podjęcia go bywa hańbą (jeśli nie jest zwykłą głupotą). Z bohaterami antysemickich wybryków w „marcowej” prasie dialogu być nie może – ani z tymi, którzy widzą w tej brudnej publicystyce wyraz swych przekonań. Nie mamy z nimi wspólnej

ojczyzny ani nie chcemy z nimi mieć w ogóle nic wspólnego. Ale między patriotyzmem Słonimskiego, Ossowskich, Jasienicy – specjalnie wymieniam nazwiska twórców bardzo różniących się między sobą i zarazem podobnych do siebie we wspólnym mianowniku humanizmu i patriotyzmu, najbliższych ideowych patronów, więcej, współtwórców dzisiejszego ruchu demokratycznej opozycji – a „patriotyzmem” filipskich, gontarzów, kąkolów rozciąga się ogromna przestrzeń społeczna; tu znajdują się ci, o których dopiero toczy się walka. Którą ojczyznę wybiorą? Nie wolno pod żadnym pozorem zrezygnować z tych wszystkich, którzy zaczadzeni są ksenofobią i megalomanią narodową, może jednak nienawiść i pycha nie zdeformowały jeszcze ostatecznie i nieodwracalnie ich umysłów i uczuć. Walka o kształt polskiego patriotyzmu będzie rozstrzygająca dla losów naszego narodu – dla losów moralnych, kulturalnych, politycznych.

Ksenofobia i megalomania narodowa wzajemnie się żywią i wspierają. Wiemy, ile wycierpiała Polska od Rosjan i Niemców, co nie usprawiedliwia przekraczania granic głupoty i nienawiści w stosunku do tych narodów; głupotą i nienawiścią człowiek i naród sami sobie szkodzą. Sfaszyzowani Ukraińcy dali się nam we znaki w latach czterdziestych, tu jednak nawet rachunek krzywd i win jest już inny niż z Niemcami, co jednak nie pomaga Ukraińcom w potocznej świadomości polskiej. Ale dlaczego Polak tak często pogardza Czechem („Pepiczkiem”)? Tu widać, jak splata się ze sobą ksenofobia i zidiocenie, by zgodnie doprowadzić w sierpniu 1968 roku niektórych naszych rodaków do wewnętrznego przyzwolenia na to, co było zarówno przeciwne moralności, jak i naszym narodowym interesom – do przyzwolenia na inwazję w Czechosłowacji.

Wróćmy do sprawy stosunku ogromnej większości Polaków do Niemców i Rosjan. Trzeba powtórzyć, że nienawiścią i głupotą człowiek i naród sami sobie szkodzą. Niedostrzeganie moralnych problemów tam, gdzie są, bo tak jest wygodniej, deprawuje moralnie. Do Niemców mamy od wieków wiele pretensji. To cesarze niemieccy najeżdżali nasz kraj, by go sobie podporządkować, a nie odwrotnie. Teutoński Zakon Krzyżowy Najświętszej Marii Panny był zmorą Prusów, Litwinów, Pomorzan i Polaków. Prusacy wraz z Rosjanami i również niemieckojęzycznymi Austriakami rozebrali I Rzeczpospolitą. Rugi, Hakata, prześladowania narodowo-religijne pod pruskim zaborem były już pierwszą zapowiedzią tego, co stało się w czasie II wojny światowej. O ogromie zbrodni hitlerowskich na ziemi polskiej nie ma co się rozwodzić. Musiał jednak przyjść moment – jeśli chcieliśmy pozostać w kręgu chrześcijańskiej

etyki i cywilizacji zachodnioeuropejskiej – by powiedzieć „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. W sytuacji zniewolenia narodu powiedział to największy niezależny autorytet moralny, jaki nam pozostał, polski Kościół. To zdanie, mimo wszelkich resentymentów opartych na rzeczywistych krzywdach, musimy uznać za swoje. By je przyjąć, wystarczyłaby jego treść moralna. Ale obok treści moralnej jest w nim też narodowa i kulturalna: jako naród poczuwający się do przynależności do kręgu kultury śródziemnomorskiej, marzymy o powrocie do naszej szerszej ojczyzny, Europy. Stąd konieczność pojednania z Niemcami, którzy w tej Europie już są – i nadal będą. Wyciągnięcie ręki przez Episkopat Polski do Episkopatu Niemiec było najśmielszym i najbardziej dalekowzrocznym czynem w powojennej historii Polski.

Głos Episkopatu Polski do Episkopatu Niemiec stawia jednak przede wszystkim problem, którego nie można ominąć, jeśli chce się pozostać wiernym chrześcijaństwu – problem również naszych win wobec Niemców. W Polsce nie akceptuje się takiego postawienia sprawy i nietrudno to zrozumieć, gdyż proporcje są uderzająco nierówne. Nie można się jednak godzić z lekceważeniem własnych win, nawet gdy są nieporównywalnie mniejsze od cudzych.

Wzięliśmy udział w pozbawieniu ojczyzny milionów ludzi, z których jedni zawinili na pewno poparciem udzielonym Hitlerowi, inni biernym przyzwoleniem na jego zbrodnie, jeszcze inni tylko tym, że nie zdobyli się na heroizm walki ze straszliwą machiną terroru w sytuacji, gdy ich państwo toczyło wojnę. Zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy. Wysiedlanie ludzi z ich domów może być w najlepszym razie mniejszym złem, nigdy – czynem dobrym. To prawda, że z pewnością nie byłoby sprawiedliwe, by naród napadnięty przez dwóch zbirów miał sam płacić na dodatek wszystkie tego koszty. Wybór wyjścia, które, jak się zdaje, jest mniejszą niesprawiedliwością, wybór mniejszego zła, nie może jednak znieczulać na zagadnienie moralne. Zło jest złem, a nie dobrem, nawet gdy jest złem mniejszym i niemożliwym do uniknięcia. Trudno, albo chce się być chrześcijaninem, albo nie... Jeśli nim się jest, wie się, że zasada zbiorowej odpowiedzialności nie ma nic wspólnego z etyką, którą wyznajemy – że nawet jeśli musieliśmy wybrać mniejsze zło, nie wolno nam zła nazywać dobrem, że wyrządzenie zła stwarza zobowiązanie moralne, choćby ten, kto go od nas doznał, wyrządził nam stokroć więcej zła, a na dodatek w niewielkim stopniu odczuwał potrzebę zadośćuczynienia.

Zasada mniejszej niesprawiedliwości, obowiązek urzędzenia życia milionom Polaków opuszczających z konieczności swą ojczyznę

na wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej, jest zresztą jedynym usprawiedliwieniem tego, co się stało. Nie byłoby w żaden sposób takim usprawiedliwieniem racje historyczne, bardzo wątpliwe, jak dalej zobaczymy, ani etniczne, choć może należałoby tu zrobić wyjątek dla Opolszczyzny, ale i to też jest dyskusyjne. Przejdźmy się po Warmii i Mazurach, by na własne oczy zobaczyć, ilu tam napotkamy autochtonicznych Polaków, to znaczy Mazurów i Warmiaków! Tym bardziej niepokoją, jako objaw zatrucia etyki narodowej przez nacjonalizm, od czasu do czasu ukazujące się artykuły, których autorzy przechwalają się, iż jeszcze przed II wojną światową – a więc przed napadem na Polskę, przed eksterminacją milionów obywateli polskich przez Niemców, przed pojawieniem się problemu znalezienia terenów do życia milionom Polaków z kresów wschodnich – grupy polityczne, z którymi byli związani, żądały Polski po Odrę i Nysę, ze Szczecinem i Wrocławiem. To nie są artykuły stwierdzające interesujący fakt, to akceptacja ówczesnych programów, które wówczas były planami zaborczymi, sprzecznymi z zasadami układania stosunków między narodami zgodnie z etyką chrześcijańską. Przypominać te wstydlive epizody historii ideologicznej z aprobatą to objaw degeneracji etycznej, a zarazem głupota polityczna.

W polskim myśleniu o naszych stosunkach historycznych z Niemcami narosło masę mitów i fałszywych mniemań, które trzeba będzie kiedyś odkłamać – w imię prawdy i w celu leczenia samych siebie: fałszywe wyobrażenia o własnej historii są chorobą ducha narodu, stanowią przeważnie pożywkę, na której rozwija się ksenofobia i megalomania narodowa.

Prawie każdy Polak (nawet wykształcony) wierzy dziś, że wróciliśmy po II wojnie światowej na ziemię zagrabioną nam przez Niemców. Dotyczyć to może Gdańska i Warmii, od pokoju toruńskiego (1466) do rozbiorów należących do I Rzeczypospolitej – choć zresztą i Gdańsk, i Warmia były wówczas (i do końca II wojny światowej) w większości etnicznie niemieckie. Reszta Prus Wschodnich nigdy polską nie była, a Niemcy zdobyli te ziemie nie na Polakach, a na Prusach, narodzie pokrewnym Litwinom. Polska mniejszość na tym terenie, Mazurzy, zresztą słabo uświadomieni w swej masie, to ludność napływowa, sprowadzona głównie przez Albrechta Hohenzollerna z Polski; nie wiedział, biedak, że powinien realizować idee *Drang nach Osten* i Prusy zaludniać tylko Niemcami. Zachodnie Pomorze – etnicznie też niepolskie, choć słowiańskie – zrzuciło parokrotnie z uporem swą zależność od Polski i wytworzyło własną organizację państwową, zniszczoną dopiero w XVII wieku przez Szwedów. Prusacy zabrali te ziemie,

zamieszkałe nie przez Polaków, Szwedom, a nie Polsce. Zniemczenie Pomorza Zachodniego odbyło się bez gwałtów, drogą naturalną. Śląsk jeszcze w średniowieczu zhołdowany został przez Czechów – i wraz z Czechami wszedł w skład monarchii austriackiej. Prusy zabrały go Austriakom, nie Polsce, dopiero w XVIII wieku, gdy procesy niemczenia się Dolnego Śląska, również dokonujące się w sposób naturalny, bez przymusu, były mocno zaawansowane. Śląsk Opolski i Górny Śląsk zachowały swą etniczną polskość. Zorganizowany i w pewnym stopniu skuteczny nacisk germanizacyjny na tych ziemiach to proces, który miał miejsce dopiero w drugiej połowie wieku XIX i w XX wieku.

Natomiast my z kolei nie chcemy dziś pamiętać, że są to ziemie, na których przez parę setek lat kwitła kultura niemiecka. Czytamy rzewne felietony o Piastach Śląskich, ich zamkach i pałacach, ale nikt nam nie mówi, że już Henryk Probus znany jest niemieckim podręcznikom literatury jako *Minnesänger* (niemieckojęzyczny trubadur), układający swe poezje w tym samym języku co Walter von der Vogelweide, co Hermann von Aue, gdy polska liryka miłosna miała powstać i rozkwitnąć dopiero po dwóch wiekach. To postać symboliczna w dziejach Śląska.

Po wiekach rozwoju kultury niemieckiej, obok polskiej, na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Warmii i Mazurach, w Gdańsku (przytłaczająco niemieckim) – i od dawna wyłącznie niemieckiej na Pomorzu Zachodnim – przypadł nam w wyniku historycznych przemian bogaty spadek architektury i innych dzieł sztuki oraz niemieckich pamiątek historycznych. Jesteśmy wobec ludzkości depozytariuszami tego dorobku. Zobowiązuje nas to, by ze świadomością, że strzeżemy dorobku kultury niemieckiej, bez zakłamań i przemilczeń w tej dziedzinie – chronić te skarby dla przyszłości, również naszej.

Pokutuje w Polsce mit Drang nach Osten – rodem z głupiej i zbrodniczej mitologii wilhelmińskich Niemiec. Z wyciąganiem go przez polską publicystykę rozprawiał się kiedyś Antoni Gołubiew w „Tygodniku Powszechnym”, w artykule w zasadzie dostrzeżonym, który tymczasem powinien wejść do podstawowych lektur polskiego inteligenta. Wiadomo, że zachodnia granica I Rzeczypospolitej była przez wieki jedną z najspokojniejszych i najtrwalszych w Europie. Zaborczość państwa krzyżackiego była zaledwie fragmentem dziejów Niemiec średniowiecznych.

Natomiast nie lubi się u nas pisać i pamiętać o tym, co dłużni jesteśmy cywilizacyjnie i kulturalnie Niemcom. O tym, że dach i cegła, że murarz, drukarz, malarz i snycerz, że setki słów polszczyzny dokumentują, co zawdzięczamy naszym sąsiadom zza zachodniej miedzy.

Piękny dorobek architektury i rzeźby, malarstwa i innych sztuk i rzemiosł w Krakowie i wielu innych miastach i miasteczkach Polski, nie tylko w średniowieczu, lecz częściowo i później, aż po wiek XIX – to w dużej części dzieło Niemców, którzy tu osiedlali się i wzbogacali naszą kulturę. Każdy prawie Polak słyszał o Wicie Stwoszu, nie każdy wie, że był to etniczny Niemiec (chwała nauce polskiej, że przeprowadziła w tej sprawie, pracami księdza Bolesława Przybyszewskiego, dowód ostateczny), wielu wyobraża sobie, że był Polakiem i gotowi spoliczkować każdego, kto temu zaprzeczy. Nikt zaś poza specjalistami nie zna setek, a może nawet tysięcy imion i nazwisk twórców Niemców, którzy zostawili niezatarty ślad w naszej kulturze.

Historia winna być wrotami w przyszłość. Co chcemy wybrać jako symbole dla przyszłości, Grunwald czy Legnicę, gdzie Polacy i Niemcy stanęli razem na drodze tumanom (dziś powiedzielibyśmy dywizjom konnym) Batu-chana? Grunwald pozostanie oczywiście na zawsze w pamięci narodowej, ale czy ma to być tylko Grunwald? Czy w naszej świadomości ma dominować pamięć o niszczeniu polskiej kultury przez hitlerowców podczas II wojny światowej, czy o jej wzbogacaniu przez Wita Stwosza i setki mniej znanych artystów? Czy z Oświęcimia chcemy zapamiętać tylko Niemców oprawców, czy też i tych Niemców, choć była ich garstka, którzy nie tylko jako więźniowie, ale też jako członkowie załogi obozu walczyli ze złem? (Pisze o tym w swej źródłowej, wydanej przed kilkunastu laty w Londynie pracy *Oświęcim walczący* emigracyjny pisarz i historyk Józef Garliński – a celnicy polscy odbierają tę książkę na granicy). Czy Niemcami mają być w naszej świadomości tylko gestapowcy i esesmani? Czy Niemcami nie byli także bohaterowie z organizacji Weiße Rose z Monachium, podejmujący w samym jądrze ciemności najtrudniejszą z walk, walkę przeciw „swoim” w czasie toczącej się wojny?

Weiße Rose to była grupa prawdziwych chrześcijan, którzy szaleńczym czynem – takim, na jaki było ich stać – zaświadczyli, że inaczej niż większość ich rodaków w owych latach byli chrześcijanami nie tylko z nazwy, że gotowi byli przyjąć męczeństwo, by dać świadectwo prawdzie i dobru. Pamięć o nich, choć bezpośrednio nic z Polską nie mieli wspólnego, powinna być i u nas żywa. Po pierwsze właśnie dlatego że są to Niemcy, ludzie należący do tego samego narodu co mordercy milionów podczas II wojny światowej. Po drugie, by uświadomić nam dyrektywę etyczną głoszącą, że gdy własny naród i własne państwo wchodzi na drogę zbrodni i zła, obowiązkiem moralnym jest przeciwstawienie się temu, choćby nawet naród i państwo toczyły wojnę na zewnątrz. Czy bohaterowie z Weiße Rose niegodni są nazwania ich

patriotami niemieckimi? Czy byli zdrajcami swego narodu? Przeciwnie, to oni ratowali resztki godności i wartości moralnych swego narodu, to oni tworzyli wartości niezbędne dla przyszłych Niemiec. W swych duszach nosili inną ojczyznę niż ta, w której mieli nieszczęście żyć i umrzeć męczeńską śmiercią.

Lęk i nieufność, które żywi wobec Niemców znaczna część Polaków, jest zrozumiała. Byłoby lekkomyślnością i głupotą zakładanie, że w Niemczech, ich stosunku do nas i w ogóle w ich mentalności, bez śladu zniknęły toksyny nacjonalizmu, kumulujące się od ery bismarckowsko-wilhelmińskiej, a może i wcześniej, od początku XIX wieku. Nie brak faktów, rozdmuchiwanym zresztą przez naszą urzędową propagandę ponad ich rzeczywiste proporcje w życiu dzisiejszych Niemiec, świadczących, że z uwagą winniśmy śledzić skłonność części Niemców do recydywy. Zarazem jednak winniśmy zrobić maksimum tego, co można, by z naszej strony stworzyć optymalne przesłanki do pojednania obu narodów. Przede wszystkim musimy niejedno zmienić w nas samych i w naszej świadomości historycznej, by to było możliwe.

W przypadku Rosjan stan przeciętnej polskiej świadomości wygląda inaczej niż w przypadku Niemców. Jeśli chodzi o tych ostatnich, zebrało się dużo nienawiści zmieszanej z lękiem, lecz i dużo respektu. W naszym stosunku do Rosjan przeważa, również obok nienawiści (chyba znacznie mniej głęboko zakorzenionej i łagodniejszej niż wobec Niemców) i lęku z koszmarnych snów o czołgach sowieckich strzelających do zbuntowanych Polaków – lekceważenie, poczucie wyższości. Skąd się ono wzięło, diabli wiedzą, ale Polacy na ogół są przekonani o niższości kultury rosyjskiej w porównaniu z polską. („Wyższość” i „niższość” kulturalna narodów to temat cienki i niebezpieczny. Narody przypominają pod wieloma względami ludzi. Tak jak dla człowieka wychowanego w etyce chrześcijańskiej i świadomie, rozumiejąco ją akceptującego każda osoba ludzka ma wartość i godność nie mniejszą niż inna osoba, choć jeden jest mądry, drugi głupi, jeden dobry, drugi zły – tak i każdy naród ma swą wartość i godność niezależnie od tego, czy opętany jest w danej chwili przez jakąś szaleńczą ideologię, czy ma bogatą kulturę i tak dalej).

Ale mieć poczucie wyższości kulturalnej wobec narodu, który wydał Dostojewskiego i Tołstoja, nie licząc co najmniej dwóch dziesiątków pisarzy, którzy mogliby być chlubą każdej literatury europejskiej, wobec narodu Rublowa, Mendelejewa, Strawińskiego – to chyba duże nieporozumienie. Jest to naród, który stworzył byliny [staroruskie pieśni epickie] i wielkie malarstwo cerkiewne już wówczas, gdy my mieliśmy literaturę narodową jeszcze ubożuchną, a malarstwo w powijakach.

Żaden z polskich pisarzy nie wywarł takiego wpływu na literaturę Zachodu, tego Zachodu, do którego chcemy należeć, jak Dostojewski, Tołstoj, Turgieniew, Czechow. Nic też nie wskazuje, by kultura duchowa chłopów polskich była bogatsza niż rosyjskich. Są tylko inne. Jest coś groteskowego i żałosnego zarazem w megalomańskim poczuciu wyższości wielu Polaków wobec Rosjan.

Postawa ta bywa zresztą uzasadniana również od innej strony. W polskiej ideologii od dawna, od czasów romantyzmu, są w obiegu koncepcje, według których rosyjska kultura została dwojako – i negatywnie – uwarunkowana przez skrzyżowanie się wpływów bizantyjskich i mongolsko-tatarskich (turańskich). W ostatnich czasach można zauważyć w publikacjach nieocenzurowanych zawrotną karierę dotyczących tej problematyki koncepcji Feliksa Konecznego. W wielkim skrócie można powiedzieć, iż rezultatem tej krzyżówki bizantyjsko-turańskiej jest kultura, w której podporządkowanie jednostki hierarchicznej władzy jest czymś oczywistym, kolektywizm dominuje nad przekonaniem o wartości indywiduum, etyka hordy nad etyką jednostki.

Jak zwykle w przypadkach takich uogólnień coś jest na rzeczy i zarazem aż zbyt wiele się nie zgadza. Tradycje despotyzmu moskiewskiego genetycznie mają pewnie w sobie wiele z chińskiego wzorca władzy, a pozycja i rola cara oraz jego dworu w tym systemie z pewnością świadomie była wzorowana na Bizancjum. Ale istnieje też w Rosji tradycja inna, tradycja duchowej niepodległości, od kniazia Kurbskiego bądź dawniej się poczynająca – tradycja niezgody i szukania oparcia ideowego na Zachodzie. Rosja dekabrystów i Hercena, Bezkiszkina i innych uczestników powstania styczniowego, Ziemi i Woli, narodników – to nie Rosja bizantyjsko-turańska. Rosjanie stworzyli niedawno słowo „samizdat”, którym i my się nieraz dziś posługujemy, byli pierwsi, pokazali drogę, płacąc za to wielką cenę, a komitet Sacharowa jest natchnieniem i wzorem dla nas. U nich jest w dodatku trudniej – i więcej trzeba odwagi.

Pamiętajmy, że wyzwolenie całej środkowo-wschodniej Europy z totalizmu sowieckiego zależy głównie od ruchów emancypracyjnych w ZSRR. Najlicniejszy i odgrywający największą rolę w imperium naród rosyjski daleki jest jeszcze od tego, by upomnieć się o demokratyczne prawa. Jako naród uciskający jest przy tym, naturalną kolejną rzeczą, szczególnie zdemoralizowany. Tu najbardziej rozkwita nowe zjawisko: „patriotyzm” sowiecki (niestety, można zetknąć się z nim nie tylko u Rosjan); tu najłatwiej znaleźć zwolenników polityki interwencyjno-pacyfikacyjnej, trzymającej w ryzach państwa satelickie;

tu każda wzmianka o tym, że samostanowienie narodów ZSRR może stać się faktem – wywołuje przeważnie gniew. Tym większy powinno to budzić szacunek – wyzbyty groteskowego i głupiego poczucia wyższości – i tym żywsze braterstwo winno nas łączyć z Rosjanami walczącymi o wolność. Jeszcze kilka lat temu i w Polsce nie było wielu odważnych, którzy by śmiali przeciwstawić się systemowi policyjnemu i totalitarnemu – gdy zaś policzyć Rosjan, którzy się odważyli rzucić wyzwanie systemowi i porównać represje, jakie ich za to spotkały, można czuć tylko podziw i szacunek.

Im trudniej niż nam, bo są po dziesięcioleciach najkrwawszego terroru wewnętrznego w dziejach świata, po straszliwej selekcji negatywnej, dokonującej się od tak dawna, a represje biją w nich mocniej i bezwzględniej.

Gdy mowa o Rosjanach, my, Polacy, nie chcemy też pamiętać, że co prawda ZSRR jest dziedzicem i kontynuatorem dążeń i stylu caratu i w związku z tym nacjonalizm rosyjski odgrywa ogromną rolę w ekspansji sowieckiej, ale zarazem sowietyzm, usiłując zniszczyć tożsamość narodową Polaków, Litwinów, Łotyszów, Ukraińców, Gruzinów, Ormian i innych nacji, z wielką mocą niszczy też tożsamość narodową, tradycję i kulturę Rosjan. Sowietyzm jest groźny i zabójczy dla wszystkich, również i dla nich.

Szczególne miejsce w naszej świadomości winny zajmować narody litewski, białoruski i ukraiński. Należy tu przypomnieć kazanie księdza Jana Ziei w Archikatedrze św. Jana w Warszawie 17 września 1976 roku, które, wierzę w to, jest faktem o znaczeniu historycznym, ważnym nie tylko w płaszczyźnie moralnej, choć o moralne pryncypia w nim chodziło. Są to narody przez wieki związane wspólnym z nami losem. Słabo zdajemy sobie jednak sprawę, że chwałą one tę wspólnotę losów mniej niż my. Polonizacja elit szlacheckich na Litwie i Rusi zepchnęła te narody do rzędu ludów „niehistorycznych”, które dopiero w drugiej połowie XIX wieku z trudem zaczęły wytwarzać nowe elity, swą inteligencję. Polonizacja była co prawda procesem naturalnym, dokonującym się bez użycia siły, ale była też zarazem klęską, opóźniającą tworzenie się narodów sensu stricto. Tego się łatwo nie zapomina. Ukraińcy pamiętają ponadto dobrze wiek XVII i XVIII, pamiętają polskie pacyfikacje buntów kozackich i ukraińskich powstań chłopskich – straszliwe i barbarzyńskie – nie chcą natomiast pamiętać o okropnościach mordów na Polakach i Żydach w 1648 roku i o rzezi humanńskiej. Polacy – odwrotnie. Jeśli I Rzeczpospolita nie zostawiła zbyt dobrych wspomnień, to II Rzeczpospolita tego nie naprawiła.

Przeciwnie. Polsko-litewski konflikt o Wilno był, to prawda, trudny do załatwienia. Obydwa narody czuły się związane z tym miastem emocjonalnie – podczas gdy (rzadko o tym pamiętamy) przynajmniej południowo-zachodnia Wileńszczyzna, włącznie z Wilnem, miała większość etnicznie polską. Rozwiązania federacyjnego, do którego parł Piłsudski, mało kto sobie życzył, udaremнили je ostatecznie polscy nacjonałiści. Do dziś Litwini żywią do nas zapiekłą urazę za zajęcie Wilna, na co nakłada się pamięć o owym idiotycznym roku, gdy ulicami polskich miast przeciągały pochody skandujące: „Wodzu, prowadź nas na Kowno!”, jakby w polskim godle narodowym widniał nie biały orzeł, lecz Koziołek Matołek. My z kolei do dziś żywimy do Litwinów niechęć za to, że wydali z siebie w czasie II wojny światowej formacje kolaboracyjne, szczególnie okrutne wobec Polaków (a jeszcze bardziej wobec Żydów). To błędne koło musimy przerwać! Gdy w Kownie doszło niedawno do rozruchów na tle narodowo-religijnym, nastrój solidarności (niestety tylko nastrój) był w Polsce powszechny. Może to dobry omen.

Z łagodnymi, cichymi Białorusinami nigdy nie mieliśmy tak ostrych konfliktów jak z Ukraińcami. Warto jednak przypomnieć, że po II Rzeczypospolitej też pozostał wobec nich bilans win – pod postacią tendencji polonizacyjnych, wyrażających się głównie upośledzeniem szkolnictwa białoruskiego. Naszym dążeniem powinno być, by tego rodzaju zjawiska nie powtórzyły się.

Najgorzej było z Ukraińcami. Pierwszą wojną II Rzeczypospolitej była – o czym nie każdy pamięta – polsko-ukraińska wojna we wschodniej Galicji. Lwów zrósł się przez wieki z historią i kulturą Polski do tego stopnia, że trudno było sobie wyobrazić w owym czasie rezygnację z tego miasta, w którym ludność polska wyraźnie przeważała nad ukraińską. Rozstrzygnęła to siła. To smutne, ale nie niezwykle w dziejach, że dwa narody nie znajdują innego rozwiązania konfliktów jak wojna. Najświeższy rachunek krzywd ukraińskich otwiera się jednak później. Irredenta ukraińska, nieustannie stymulowana przez, nie ma co ukrywać, faszystujących nacjonalistów ukraińskich, szukających oparcia to w Niemczech, to w niechętnej nam Pradze, była trudnym problemem dla II Rzeczypospolitej. A jednak wojewoda Józewski na Wołyniu umiał rozładowywać napięcia i dla dobra Rzeczypospolitej popierać kulturalne aspiracje ukraińskie. Ignorowanie narodowych i kulturalnych potrzeb tego narodu było drogą donikąd. Pacyfikacje, tak jak były przeprowadzane, pozostaną hańbą, niezależnie od tego, jak trudną sytuację stwarzali aktami terroru i sabotażu nacjonałiści ukraińscy. Dla przyszłości obydwu narodów lepiej byłoby, gdyby okres

II Rzeczypospolitej pozostał w pamięci Ukraińców jako epoka, w której we wschodniej Galicji i na Wołyniu kwitły ukraińskie instytucje kulturalne pod mecenatem Rzeczypospolitej, z uniwersytetem ukraińskim we Lwowie na czele. Ten dorobek profitowałby do dziś, a może i dłużej, dla obu narodów. Stało się inaczej.

Ostatnia wojna nierówno obciążyła rachunki win, które obydwie narody wzajemnie sobie wypominają. Tym razem niewiele mieliśmy sobie do wyrzucenia. Za to zaraz po wojnie, gdy oddziały UPA po klęskach zadanych im przez armię sowiecką zostały zepchnięte na południowo-wschodnie krańce protektoratu polskiego i rozgorzała walka w Bieszczadach, pomysł załatwienia problemu, jaki stanowiła partyzantka ukraińska na tych ziemiach, przez zamienienie ich w pustynię, to jest przez wysiedlenie Łemków i rozproszenie ich po Polsce, był pomysłem szatańskim, który zrodził się zapewne w głowie kogoś z „doradców” z KGB, praktykujących z talentem rzymską zasadę *divide et impera*, a znających precedensy, na skalę o ileż większą, ze swego kraju.

Jeszcze tylko parę zdań o naszych stosunkach z Czechami, choć o tym już była wzmianka. Czesi bynajmniej nie mają podstaw, by mieć wobec nas wyłącznie czyste sumienie. Jednostronne rozwiązanie za pomocą siły zbrojnej problemu Śląska Zaolziańskiego w momencie, gdy ważyło się istnienie państwa polskiego w 1920 roku nie przynosi Czechom zaszczytu. Ale udział Polski w rozbiórce Czechosłowacji, wraz z Hitlerem, był mimo to haniebnym. W 1968 roku, a więc w trzydzieści lat później, polskie wojska wzięły udział w okupacji Czechosłowacji. W pięknym songu o Hradcu Kralovym, który śpiewało się od 1968 roku w środowiskach opozycyjnej młodzieży, jest to ujęte publicystycznie w ostatniej zwrotce: „Nie z twojego to rozkazu grzmiały buty wojskowe, lecz co ty zrobisz, co ty zrobisz dla Hradca Kralove?”. Naród polski nie może odpowiadać za władzę narzuconą nam przez obcych i na obcej głównie sile opartą, ale fakt, że w wielkim kraju, o pięknych tradycjach walki „o wolność naszą i waszą”, głos protestu podnieśli tylko Jerzy Andrzejewski i Zygmunt Mycielski w swych listach do czeskich i słowackich braci, a także mała grupka studentów w Warszawie, próbujących rozpowszechniać ulotki ze słowami sprzeciwu, nie przynosi nam, którzyśmy się bali, zaszczytu. Gorzej, można było spotkać ludzi tak niemądrych, że akceptowali tę inwazję, bzdurząc bezmyślnie a to o zagrożeniu niemieckim, a to o wrogości Czechów wobec nas... Megalomania narodowa i ksenofobia znów złożyły się na to, że akurat wobec tych, którzy powinni nam być zawsze, a w szczególności teraz,

szczególnie bliscy, wobec braci zza Sudetów, zza Olzy i zza Karpat – okazaliśmy małostkowy brak solidarności.

Każdy Polak powinien dziś rozumieć, że dwie są racje, moralna i polityczna, dla których dziś nasze tradycyjne fobie i megalomanie w stosunku do wszystkich otaczających nas narodów są samobójstwem: racja moralna oraz okoliczność, że jesteśmy już w dużym stopniu zatruci sowietyzmem, że grozi nam utrata więzi duchowej z naszą przeszłością i kulturą Zachodu, z etycznymi podstawami chrześcijaństwa. To, co dawniej było plamą na naszych dziejach i na naszej mentalności narodowej – plamą zauważalną też u wielu innych narodów – dziś może okazać się zwiastunem śmierci i rozkładu; racja polityczna mówi nam, że trzeba liczyć się z tezą, zgodnie z którą od grozy unicestwienia uwolnimy się albo wszyscy razem, zarówno narody ZSRR, jak i narody od Związku Sowieckiego zależne – albo nikt. Znikome jest prawdopodobieństwo, by totalitarny i trzymający w ryzach narody wchodzące w skład ZSRR sowietyzm mógł być zmuszony do wypuszczenia z pazurów swej zdobyczy, którą dziś w jakimś stopniu jesteśmy.

Antysemityzm jest tak innym rodzajem ksenofobii, o tak odmiennej funkcji i roli w historii, że wymaga osobnego omówienia.

Przede wszystkim powstaje pytanie, czy jest to ksenofobia. Gdy w Polsce żyli ludzie różniący się wszystkim: językiem, poczuciem narodowym, religią, tradycją, obyczajem, ubiorem, i antysemityzm ku nim się kierował – była to zapewne ksenofobia. Gdy antysemityzm obejmował też ludzi nieróżniących się językiem i ubiorem i oderwanych już od religii swych przodków – można mniemać, że jednak działo się tak z powodu ich rzeczywistej czy domniemanej solidarności z tamtymi, wciąż więc była to ksenofobia. Gdy jednak przenosił się na ludzi często od pokoleń spolonizowanych, niejednokrotnie wyznających nie formalnie, lecz faktycznie tę samą religię co większość Polaków, przesiąkniętych polską kulturą do szpiku kości, a często nawet mających za sobą działalność niepodległościową i walkę o wolność Polski – to już coś więcej i gorzej niż zwykła ksenofobia, która jest zjawiskiem ujemnym i niepożądanym, niekoniecznie jednak zahaczającym o psychopatologię społeczną.

Jedyną możliwością uzasadnienia takiego antysemityzmu jest rasizm – często podświadomy, niewyznawany głośno. Przeświadczenie o mniejszej, niepełnej wartości ludzi ze względu na ich biologiczne, rasowe determinanty jest jednak nie do pogodzenia z naszym chrześcijańskim spadkiem etycznym, z przykazaniem miłości bliźniego i Pawłowym „nie masz Greczyna ani Żyda”.

W praktyce znamy jeszcze inną próbę uzasadnienia: religijną, pseudochrześcijańską. Odrzucenie Chrystusa przez Żydów – a nawet wzięcie na siebie i potomnych Jego krwi, przelanej pod ich naciskiem – miałyby spowodować dla Żydów skutki analogiczne do grzechu pierworodnego ludzkości, a więc immanentne zło, które przyjęli na siebie. Konstrukcja to raczej kołtuńska niż teologiczna – i modelowo antychrześcijańska. Chrześcijaństwo nie zna winy zbiorowej ani dziedziczenia winy, ani zbiorowej odpowiedzialności za winę. Grzech pierworodny w teologii chrześcijańskiej nie jest dziedziczeniem winy, lecz skażeniem natury ludzkiej. Może więc Żydzi według tej koncepcji mieliby naturę ludzką podwójnie skażoną? W takim razie jako bliźni winni być przedmiotem szczególnej troski, a nie prześladowań – chrzest zaś ostatecznie zmywałby to skażenie, co dla endeckiego i oenerowskiego kołtuna było koncepcją nie do przyjęcia. Ale II Sobór Watykański, po wiekach tolerowania takiej postawy, a nawet jej faktycznego, choć dyskretnego akceptowania, odrzucił i ten wariant uzasadnienia antysemityzmu. Szkoda, że tak późno, dobrze jednak, że tak się stało. Istotnym składnikiem etyki chrześcijańskiej, przyswojonej zarówno przez wierzących, jak i niewierzących, jest przeświadczenie, że człowieka oceniać można tylko po jego czynach, że każdy człowiek jest pod tym względem równy (wierzący dodadzą: wobec Boga) i że żadna ocena jego uczynków nie może uchylić nakazu miłości bliźniego.

Jednak w chrześcijańskim od wieków narodzie polskim antysemityzm zakorzenił się w sposób budzący niepokój.

Antysemityzm czy antysemityzmy? Wiemy dobrze, jak szeroka to skala zjawisk: od poczucia wyższości i pogardy (najbardziej groteskowy rodzaj ksenofobii – wobec narodu, który odkrył czy też wynalazł jedynego, wszechogarniającego, wszechmocnego, czysto duchowego Boga; który wydał z siebie tylu wielkich uczonych, artystów, pisarzy, co proporcjonalnie chyba żaden inny naród świata; który dał dowody nadludzkiej niezłomności, przez tysiąclecia zachowując w niesprzyjających warunkach swą religię, kulturę, tożsamość), poprzez poczucie zagrożenia i płynące stąd dyskryminacje różnego rodzaju, aż po nienawiść ujawniającą się w masowych mordach. Nie można powiedzieć, że to wszystko jedno i to samo – różnica jest ogromna, jednak mają rację ci, którzy wskazują, jak łatwo formy łagodniejsze i „pocziwe” antysemityzmu stają się pożywką dla form najgroźniejszych. Wszystkie zaś one – niejednakowo co prawda – są nie do pogodzenia z nakazem miłości bliźniego.

Historia Polski przez wieki należała w tej dziedzinie do najpiękniejszych (stosunkowo) w Europie. Tumulty i inne odrażające zjawiska

zdarzały się i w Rzeczypospolitej, jednak nie na skalę straszliwych pogromów średniowiecznych w Europie Zachodniej. Światli królowie i elita rządząca umieli rozsądnie sterować współżyciem narodów w Rzeczypospolitej. Paweł Jasienica w *Polsce Jagiellonów* ze słuszną dumą wskazuje na braci Józefowiczów, z których pierwszy, wychrzta (protoplasta rodu Józefowiczów-Hlebnickich) został jednym z najwyższych dostojników Rzeczypospolitej Obojga Narodów, drugi zaś, pozostając przy wyznaniu mojżeszowym, został przez Zygmunta Starego pasowany na rycerza. W Złotym Wieku wszystko to było jeszcze możliwe – Żyd pasowany rycerzem, chłop jednym z czołowych poetów epoki, mieszczenie w elicie intelektualnej, a nawet politycznej.

Mimo jednak późniejszego upadku państwa i narodu – dopiero druga połowa wieku XIX przyniosła początki „nowoczesnego” antysemityzmu („nowoczesnego”, to znaczy wykraczającego poza szlacheckie poczucie niedopuszczalności przekraczania barier stanowych i wyznaniową awersję). Było to już wówczas, gdy w okresie walk o niepodległość ukształtowała się tradycja znaczone imieniem oficera Insurekcji i Legionów Berka Joselewicza, poległego pod Kockiem w 1809 roku (mniej pamięta się o żołnierzach jego pułku, skrwawionego w roku 1794 w obronie Pragi) i jego rówieśnika oraz krajana z Litwy Jankiela z *Pana Tadeusza*. Tradycja rabinów Meiselsa i Cyłkowa wprowadzających język polski do synagog, solidarnych z katolickim klerem w walce przeciw rosyjskiemu zaborcy. Tradycja, w której ważne miejsce zajmował epizod manifestacji na Krakowskim Przedmieściu w 1861 roku, gdy po salwie, od której padł zakonnik niosący na czele pochodu krzyż, młody uczeń szkoły rabinackiej, Landy, wzniósł znowu krzyż do góry („krzyż Polaków” – czytamy w relacjach), by paść od następnej salwy. Tradycja Żydów oficerów i żołnierzy powstania styczniowego. Tradycje te były zawsze hamulcem, choć jakże niedoskonałym, dla polskiego antysemityzmu, mimo że zostały wzmocnione tradycją żarliwych patriotów polskich żydowskiego pochodzenia, walczących o polską kulturę i naukę, o polską oświatę pod zaborami – a później także udziałem Żydów w czynie zbrojnym Legionów. Bolesław Prus genialnie uchwycił ten proces, ukazując w *Lalce* rozchodzenie się, na progu nowej epoki wywołanej industrializacją w Królestwie, dróg tych, którzy byli solidarni w roku 1863, wskutek odepchnięcia Żydów od polskości: dla doktora Szumana, wrośniętego w kulturę polską, to tragedia, dla Szlangbauma, niezasymilowanego w takim stopniu, to przesłanka do poczucia się obcym. Pamiętamy, że oni obydwa – tak jak Wokulski – są powstańcami 1863 roku!

Nastroje antysemitki, coraz bardziej nurtujące polskie mieszczaństwo, a podniecane przez prowokacje ochrony w innych częściach imperium carów i w Królestwie Polskim (wiadomo już dziś mniej więcej, kto organizował fale pogromów po 1905 roku i skąd poszły w świat *Protokoły mędrców Syjonu*) – weszły do ideologii i praktyki endecji, stopniowo wystrzając się i coraz wyraźniej dehumanizując – od hasła bojkotu ekonomicznego, poprzez kwestionowanie praw obywatelskich mniejszości żydowskiej, aż do krwawych pogromów w miasteczkach i na wyższych uczelniach, czyli od Ligi Narodowej, przez Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne i Obóz Wielkiej Polski – do ONR i grup młodoendekich. W prasie ONR pojawiły się nawet głosy postulujące eksterminację Żydów w Polsce.

Niestety, odpór społeczny był za słaby. Główna, najsilniejsza partia polskiej lewicy, PPS, silna w środowiskach robotniczych, była słaba na uczelniach, skąd głównie rekrutowały się bojówki ONR. Lewicowa i liberalna inteligencja zdobywała się na piękne dowody solidarności z ofiarami bojówek, ale były to głównie akty indywidualnej odwagi (ciekawe, że zdarzały się i wśród starej profesury endeckiej). Władza, po śmierci Piłsudskiego coraz bardziej skłaniająca się ku faszyzującej prawicy, nie próbowała zbyt energicznie przeszkadzać awanturom, wyprawianym częściowo przez grupy znajdujące się w opozycji wobec sanacji, częściowo jednak przez jej sojuszników (ONR Falanga). Kościół przyglądał się temu obojętnie (z wyjątkiem tak drastycznych wypadków, jak pobicie w kościele księdza Pudra, neofity), a nawet część prasy katolickiej (na przykład „Mały Dziennik”) popierała antysemityzm.

Nadeszła wojna i okupacja wraz ze straszliwą eksterminacją Żydów przez okupanta. Ocena egzaminu zdanego wówczas przez Polaków nie może być niestety prosta i jednoznaczna.

Na Zachodzie, głównie w środowiskach żydowskich, porażonych tragedią zagłady milionów, pojawiły się nieodpowiedzialne i prawie nic niemające wspólnego z rzeczywistością oskarżenia narodu polskiego o współuczestnictwo w eksterminacji. Próbowano nawet rozpowszechniać obelżywe określenie „naród szmalcowników”. Antypolonizm powinien być uważany za postawę nie mniej hańbiącą niż antysemityzm. Zdanie „wszyscy Polacy to antysemitki” lub „wszyscy Polacy to pijusy” – jest tyleż warte, co „wszyscy Żydzi są oszustami”.

Zjawisko szmalcownictwa, to znaczy szantażu uprawianego na ukrywających się Żydach oraz współpracy z gestapo przy ich tępieniu – wypominane Polakom na Zachodzie przez wielu Żydów – było marginalne, każde społeczeństwo ma swój margines zbrodniczy. Dla

Żydów było to zjawisko tak groźne, że wielu z nich mogło przesłaniać całą resztę Polski. Nie można winić o takie zdeformowane widzenie proporcji ludzi, którzy przez kilka lat byli obiektem polowania. Trzeba jednak pamiętać, że gestapo umiało, posługując się zdrajcami, nie tylko wyłapywać ukrywających się Żydów, lecz dekonspirować całe jednostki podziemnej armii (przykładem może tu być wpadka dyspozycyjnego oddziału dywersyjnego KG AK „Osa-Kosa”) i działaczy tego nawet szczebla, co Komendant Główny AK „Grot” Stefan Rowecki. Nie o antysemityzm więc w zasadzie chodziło, lecz o obrzydliwy proceder, kierujący się przeciwko wszystkim, których tropiło gestapo.

W zapędlenie polemik z krzywdzącymi opiniami o stosunku społeczeństwa polskiego do Żydów, i nie bez złej wiary, peerelowska propaganda uogólniała, że jest to stanowisko wszystkich Żydów na świecie, co jest kłamstwem o tendencji antysemickiej, obliczonym na złą informację. Długa – i zapewne niezamknięta – jest lista Polaków wyróżnionych izraelskim odznaczeniem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Świadczy ona, że Żydzi w Izraelu doceniają zasługi Polaków dla ratowania Żydów w Polsce podczas II wojny światowej. Co więcej – przy okazji nadania tegoż medalu szefowi kierownictwa Walki Podziemnej instytut Yad Vashem, rozstrzygający o nadaniu odznaczenia, w uzasadnieniu wskazał oficjalnie na zasługi polskiego państwa podziemnego w tej sprawie. Uczni żydowscy, tacy jak Filip Friedman, przyczynili się istotnie do zbadania prawdy o udziale Polaków w ratowaniu Żydów. Antypolonizmu wśród części Żydów na Zachodzie nie można przypisywać całej zbiorowości – jak nie wolno całemu narodowi polskiemu wmawiać antysemityzmu.

Trzeba jednak z bólem, lecz odważnie powiedzieć, że prawda w tej sprawie nie wydaje się też tak prosta i jasna, jak to nieraz bywa przedstawiane. Nie prześladowaniem i tropieniem ukrywających się Żydów zawiniли głównie Polacy, mimo że byli wśród nas uprawiający taki proceder – lecz obojętnością. To prawda, że trzeba było aż bohaterstwa, by Żydów ratować. Znam ludzi schwytanych przez Niemców z bronią w ręku, którzy jednak przeżyli w obozach koncentracyjnych, nie znam człowieka ukrywającego Żyda, który by przeżył wpadkę, ani o takim nie słyszałem. Co więcej, żołnierz AK wiedział, że jeśli zostanie aresztowany, czekają go tortury, może aresztują jego żonę, zapewne wkrótce go rozstrzelają, ale mógł oczekiwać, że jego małe dzieci ocaleją. Kto ukrywał Żyda – i na to nie mógł liczyć. Tej ceny nie płacili Francuzi czy Holendrzy, a mimo to ich sukcesy w ratowaniu Żydów nie wydają się zawrotne, winy zaś Francuzów, biorących udział w wydawaniu Żydów, są nawet znaczne. Wysiłek społeczeństwa

polskiego w tej dziedzinie był duży, godny szacunku, opłacony sowi-
cie krwią – i niepozbawiony sukcesów. Obok poszczególnych osób
i rodzin ratujących swych przyjaciół, a często przypadkowych, obcych
ludzi, działały instytucje, takie jak Rada Pomocy Żydom, korzystające
z poparcia i pomocy podziemnego państwa polskiego. Stanowisko pol-
skich władz było w tej sprawie jasne. Sądzę jednak, że znaczna część
społeczeństwa była obojętna wobec zagłady Żydów – i że winę za
to ponosi między innymi panoszący się przed wojną antysemityzm.
Ba, konspiracyjna prasa skrajnej prawicy w czasie wojny była nadal
antysemicka! Co więcej – czy naprawdę nie słyszeliśmy nigdy w cza-
sie okupacji zdania: „Po wojnie Hitlerowi postawi się pomnik!”? Gdy-
by przed wojną nie zatruwano narodu polskiego antysemityzmem,
z pewnością mniej byłoby obojętnych. Nie byłoby też może tych mę-
tów, które w miasteczkach Mazowsza zareagowały na wywożenie
z gett ludzi, współobywateli – rabunkiem i brutalnością (pisał o tym
otwarcie, protestując i grożąc represjami, „Biuletyn Informacyjny”,
oficjalny organ AK).

Historia antysemityzmu w Polsce na tym się nie kończy. Bezpo-
średnio po wojnie krajem wstrząsnęła wiadomość o pogromie kielec-
kim. Wiele wskazuje na to, że była to prowokacja NKWD i bezpieki.
Trzeba było opinii Zachodu przedstawić Polskę jako kraj w gruncie
rzeczy sfaszyzowany, w którym tylko komuniści mogą zaprowadzić
porządek. Ale dowodów na to nie mamy w stu procentach, gdyby zaś
nawet się znalazły, pozostaje faktem, że tego rodzaju prowokacje
udać się mogą tylko wówczas, gdy padają na glebę gotową je przyjąć.

Lata stalinowskie przyniosły ze sobą nowe podniety dla anty-
semityzmu. Stało się to, co było do przewidzenia przed wojną – jak
to zwykle bywa z mniejszościami nieterytorialnymi, podlegającymi
różnym dyskryminacjom, skrajna internacjonalistyczna lewica była
popularna wśród młodzieży i inteligencji żydowskiej, toteż w aparacie
nowej władzy, a szczególnie w aparacie ucisku (nazywając po imie-
niu, w bezpiece) znalazło się niemało Żydów lub ludzi żydowskiego
pochodzenia. Kto wie, czy nie towarzyszyła temu zjawisku makiawe-
liczna dyrektywa płynąca z centrali w Moskwie. Mniejszości dobrze
się do takiej roli nadają dzięki swemu wyobcowaniu (świadczy o tym
na przykład krwawa rola Polaków, Żydów, Łotyszów w Czece), a w ra-
zie czego dobrze mogą pełnić rolę kozła ofiarnego.

To zjawisko – udział znacznej części ocalałych Żydów polskich,
a również Polaków żydowskiego pochodzenia, w bezpiece i w ca-
łym aparacie komunistycznej władzy – nałożyło się na pamięć roku
1939, gdy znaczna część ludności żydowskiej kresów wschodnich

z demonstracyjną, choć krótkotrwałą radością powitała załamanie się Rzeczypospolitej i okupację. Nie wolno jednak pamiętać tylko o tym, a zapominać o heroicznych aktach lojalności przywódców Bundu, Altera i Erlicha, wobec Rzeczypospolitej i o ich proteście wobec władz sowieckich. Przypłacili to życiem po niewielu latach – i nie weszli do Panteonu polskiej pamięci.

Październik 1956 roku pokazał jednak, mimo odosobnionych ekscesów, że motywacje antysemityczne nie są tak silne, by spowodować spontaniczne a groźne działania społeczne – chociaż ich zarzewie tli się do dziś. Po kilku latach została jednak podjęta zorganizowana próba wykorzystania tego motywu w walce politycznej. Grupa prąca do władzy pod wodzą Mieczysława Moczara rzuciła zrazu półjawnie, w 1967 już jawnie, a w 1968 z fanfarami i werblami hasło antysemityzmu (pod pretekstowym i wprowadzającym w błąd hasłem walki z syjonizmem). Był to zresztą cały kompleks chwytów propagandowych, które wstyd nazwać ideologią, lecz w tej roli jednak użytych – „patriotyzm” podbijający bębenka megalomanii narodowej („my, Polacy, złote ptacy” – jak w wyliczance dziecięcej), kurs na bezkrytyczny stosunek do mitów narodowych i próby ich przywłaszczenia, apelowanie do przeciętnej mentalności kombatanckiej, militaryzacja wyobraźni, pochwała represywnego działania wymiaru sprawiedliwości, ksenofobia wymierzona między innymi w nasze związki z Zachodem oraz poczucie solidarności z Czechami i Słowakami.

Pewne sukcesy odniesiono, ale akurat nie w kampanii antysemitycznej. Były obawy, że ta bardziej poruszy społeczeństwo, które zareagoowało jednak ospale i ostrożnie, a w części poważniejszej, niż można się było spodziewać – niechętnie, nawet wrogo. Sam fakt, że płynęło to z góry, skazywał akcję na mierne tylko powodzenie. W gruncie rzeczy okazało się, że już tylko aparat i aktyw partyjny (plus przybudówki tego typu, co na przykład PAX o tradycjach oenerowskich) są zainteresowane tą sprawą na tej samej zasadzie, na której przed wojną drobnomieszczanin polski nienawidził Żyda konkurenta. Drobnomieszczanina zastąpił kołtun partyjny, nienawidzący konkurenta do eksponowanego biurka, co w roku 1968 było jeszcze aktualne. Szczególnie młodzież w swojej masie przyjęła antysemityzm wrogo.

Zmuszenie do wyjazdu z Polski w 1968 roku tysięcy Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia jest jedną z hańb w dziejach naszego kraju. Policyjny antysemityzm sowiecki, szalejący w ZSRR wówczas, gdy nic go jeszcze nie zapowiadało w PRL (między innymi odpowiedzialny za wymordowanie znacznej części inteligencji żydowskiej w ZSRR, w tym prawie wszystkich pisarzy używających języka

jidysz) – został teraz przeszczepiony do nas. Nie bez racji po paru miesiącach cała czołówka „marcowych” publicystów partyjnych udekorowana została złotymi odznakami Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Obok niepowetowanych strat moralnych, które ci ludzie i ich sojusznicy z aparatu spowodowali – odnotować trzeba również straty przeliczalne, exodus z Polski tych, co nerwowo nie wytrzymali, spowodował częstokroć brak trudnych do zastąpienia fachowców.

Nie poczuwam się do wspólnej ojczyzny z „marcowymi” publicystami i aparatczykami organizującymi w 1968 roku antysemicką nagonkę. Wstydzę się za kombatantów ze ZBoWiD-u, którzy pozwolili, by wykorzystano ich przeszłość do firmowania tej ohydy. Byli wśród nich, niestety, moi towarzysze broni, różnych rang, z AK.

Z różnymi odmianami ksenofobii idzie w parze megalomania narodowa. „My, Polacy, złote ptacy”. Jesteśmy niby nieporównanie lepsi, mądrzejsi, bardziej utalentowani od wszystkich narodów świata, a w szczególności od tych, którzy żyją bliżej nas. Już ksiądz Dębołęcki napisał na ten temat stek bzdur na początku XVII wieku. I tak to trwa i rozwija się.

W beznadziejnej sytuacji międzynarodowej, po upadku powstania listopadowego, rozkwitł polski mesjanizm. Najwięksi nasi poeci i myśliciele zaangażowali się w tę ideę. Była w niej autentyczna wielkość, uskrzydłona ich geniuszem. Myślę, że odegrała ona jakąś rolę w przetrwaniu klęsk, choć pytanie, czy nie przyczyniła się do następnych. Ale spadek, który po tych romantycznych wzlotach do dziś przechował się w przeciętnej mentalności jako tako wykształconego Polaka jest żałosny – poczucie jakiejś szczególnej wyższości tylko z tego tytułu, że jest się Polakiem, często doprowadzone religijną egzaltacją. Może zresztą to za duże słowo, to raczej karykatura egzaltacji wyżywająca się w narodowo-religijnej rekwizytorni.

Warto i należy w tej postawie zwrócić uwagę na splót wątków narodowych z religijnymi (ma to zresztą tę dobrą stronę, że patriotyczna tromtadracja partyjno-zbowidowska słabo dociera do społeczeństwa). Co to znaczy „Polak-katolik” – pisał obszernie, kompetentnie i celnie Bohdan Cywiński w *Rodowodach niepokornych*. Chciałbym mimo to zwrócić tu uwagę na parę aspektów tej sprawy, bo dla odpowiedzi na pytanie: „Patriotyzm, ale jaki?” mają one zasadnicze znaczenie.

Hasło twierdzenie o nierozłączności polskości i katolicyzmu da się interpretować w różny sposób. Rzuca się je przeważnie bez bliższego sprecyzowania i dzieje się to tak często, że można dopatrzyć się w tym metody. Ponieważ slogan ten w najbardziej narzucającej się interpretacji oznacza, że kto nie jest katolikiem, nie jest

pełnowartościowym, pełnym Polakiem (jeśli jest w ogóle Polakiem sensu stricto), należałoby za każdym razem, gdy się nim ktoś posłuży, wyraźnie zaznaczyć, czy o takie rozumienie go właśnie chodzi. Niedawno można było przeczytać o nierozłączności polskości i katolicyzmu w artykule księdza Sroki w gdańskim „Bratniaku”. Autor, interpelowany przeze mnie osobiście, odpowiedział, że został źle rozumiany, chodziło mu mianowicie o to, że katolicyzm wywarł tak wielki i wielostronny wpływ na kulturę polską, tak w nią wrósł, że kultura ta jako całość nie da się od katolicyzmu oderwać bez utraty swej tożsamości. Jest to teza rozsądna i nikogo nie powinna dotyczyć, choć też mogłaby być przedmiotem dyskusji. Można by na przykład spytać, wiedząc, jak mocno prawosławie zdeterminowało kulturę Rosji, czy gdyby odrodzenie religijne Rosji dokonało się nieoczekiwanie przez połączenie ze Stolicą Piotrową, nastąpiłaby nie tyle poważna zmiana w narodzie rosyjskim, co w ogóle utrata przezeń tożsamości narodowej? Czy, uogólniając, katolicyzacja jakiegokolwiek narodu chrześcijańskiego lub chrystianizacja jakiegokolwiek narodu niechrześcijańskiego musi spowodować jego wynarodowienie? Ale zostawmy tę dyskusję na boku. Bardziej mi chodzi o pierwszą interpretację polsko-katolickiego hasła, dość powszechną, jak mi się zdaje, wszędzie tam, gdzie spotykamy się jednocześnie z ksenofobią i megalomanią narodową, a która wciąż żywi się niejasnymi przeświadczeniami, które tu rozważamy.

Sens pierwszy jest bowiem zarówno fałszem, jak i złą przysługą wyrządzoną tradycji narodowej oraz dzisiejszemu stanowi poczucia narodowego. Pozbawia mianowicie tradycję narodową ogromnych i ważnych jej obszarów, a z dzisiejszego życia narodowego ruguje tych ludzi, którzy do związków z katolicyzmem się nie poczuwają.

Co w dziejach i tradycji polskiej nie jest katolickie? Pomijając epizody, które w niewielkim stopniu wpłynęły na bieg naszych dziejów, jak na przykład polski husytyzm, zacząć trzeba od polskiej tradycji reformacji i protestantyzmu. Nie jest tego mało – w XVI i XVII wieku tradycje Mikołaja Reja i arian polskich, tradycje współżycia różnych wyznań w tolerancji, przypieczętowane aktem konfederacji warszawskiej. Nie brak protestantów wśród naszych bohaterów narodowych (przykładem generał Sowiński), nie brak pastorów wśród narodowych działaczy polskich. To prawda, że Kościół katolicki odegrał wielką rolę w trwaniu przy polskości, szczególnie pod zaborem pruskim i na dalekich kresach pod zaborem rosyjskim. Ale na Śląsku Cieszyńskim i Mazurach polskość pielęgnowały zbory ewangelickie i ich pastory. Ostatnim aktem heroicznej postawy narodowej ewangelików polskich

było męczeństwo nieugiętych pastorów i działaczy w okresie okupacji hitlerowskiej. Symboliczne jest tu nazwisko Burschego – ale nie jest jedyne. Wkład polskich protestantów w kulturę polską i walkę o byt narodowy jest tak wielki, że wszelkie próby wyłączenia ich z naszej polskiej wspólnoty narodowej budzić muszą ostry sprzeciw.

Podobnie nie sposób zgodzić się na zanegowanie żywego i bogatego w kulturze polskiej od czasów oświecenia, a ze szczególną intensywnością od pozytywizmu, bezwyznaniowego nurtu laickiego, często ateistycznego, niekiedy agnostycznego. Zaliczyć tu można większość bohaterów *Rodowodów niepokornych* Bohdana Cywińskiego i ich kontynuatorów. Trudno wyobrazić sobie kulturę polską ostatniego stulecia bez Edwarda Abramowskiego i małżeństwa Dawidów, bez Wacława Nałkowskiego i Ignacego Redlińskiego, bez Stefana Żeromskiego i Andrzeja Struga, bez Stefana Czarnowskiego i Tadeusza Kotarbińskiego, bez Edwarda Lipińskiego oraz Marii i Stanisława Ossowskich, bez Antoniego Słonimskiego i Marii Dąbrowskiej, bez Leszka Kołakowskiego. A są to nazwiska symbole, reprezentujące tu często całe szkoły i kierunki myśli polskiej, setki Polaków, którzy wnieśli ogromny i niezatarty wkład do dorobku naszej kultury.

Jedną z odmian ksenofobii jest kult „swojskości” przeciwstawiany „modom” płynącym ze świata (głównie z Zachodu). Dziwaczność tej postawy polega głównie na tym, że przeważnie jej rzecznicy równocześnie głoszą tezy o naszych związkach z kulturą Zachodu. Dziwne związki, które mają polegać na izolowaniu się. Wygląda na to, jakby zwolennicy tej postawy uważali, że związki związkami – ale już starczy tego dobrego.

Postawa to śmieszna i nonsensowna. Żadnej kulturze jeszcze izolacja nie wyszła na dobre. Polacy doświadczyli tego na sobie w znacznym stopniu. Od braci Czechów wzięliśmy chrześcijaństwo, które zaszczepli u nas Czesi, Niemcy i inni duchowni przybyli z Zachodu. Po naukę zaczęli Polacy jeździć na włoskie i niemieckie uniwersytety, do Pragi i Paryża, zrazu nieliczni, później ich liczba stale rosła – z korzyścią dla naszej kultury. Zachodni mentorzy, Niemcy i Francuzi, uczyli nas wznosić budowle romańskie, a później gotyckie, wypełnione rzezbami i obrazami będącymi dziełem cechowych artystów – Niemców. Obyczaj zachodnioeuropejskiego rycerstwa przyjął się w Polsce. Sprowadzone z Zachodu zakony krzewiły cywilizację i kulturę. Poczynając od końca XV wieku, zaczęliśmy czerpać pełnymi garściami z Włoch, przeżywających renesans, a potem z całej renesansowej Europy Zachodniej, sprowadzając stamtąd artystów, pisarzy i uczonych. Cała

elita polska kształciła się na zachodnioeuropejskich uniwersytetach, głównie we Włoszech i w Niemczech. Z Niemiec przyszła reformacja, która wzbogaciła polskie życie umysłowe. Z Bliskiego Orientu turecko-tatarskiego szlachta polska brała stroje, wyposażenie wnętrz, broń (i, niestety, barbarzyński zwyczaj wbijania na pal). W literaturze polskiej od XVI wieku widać gołym okiem inspiracje płynące z Włoch, Niemiec, Francji, Hiszpanii. Dopiero wiek XVIII przyniósł ze sobą osłabienie tych więzów i osłabnięcie importu kultury, ze skutkiem dla Polski tragicznym. Na szczęście już w połowie XVIII wieku więzy te znów się wzmocniły, artyści polscy znów zaczęli jeździć do Włoch po naukę, a światła część arystokracji nie tylko po fraczek i perukę, lecz i po myśl oświeceniową, która zaowocowała Komisją Edukacji Narodowej i reformami Sejmu Wielkiego. I od tamtej pory czerpiemy nadal pełnymi garściami – z Zachodu przyszedł romantyzm i pozytywizm, symbolizm i impresjonizm, ekspresjonizm i futuryzm.

Są to rzeczy znane i oczywiste, ale wciąż muszą być przypomniane. Kultura polska rozkwita zawsze w symbiozie z tymi podnietami, a nie w opozycji do nich. Rzadko kiedy czerpaliśmy tak obficie jak w wieku XVI – z tak pięknym sukcesem dla kultury narodowej. W XIX wieku Mickiewicz był przesiąknięty zachodnim romantyzmem – i zarazem oryginalny, twórczy, niezwykły. I tak dalej. Przerwanie tego rodzaju związków wpędzić nas może co najwyżej w neosarmatyzm, podobny do sarmatyzmu epoki saskiej.

Boli nieraz, że znacznie więcej wzięliśmy, niż daliśmy. W całości kultury europejskiej liczy się co prawda nie tylko eksport, lecz sam fakt stworzenia oryginalnych wartości, jednak chcielibyśmy w syntezie europejskiej brać udział nie tylko przez sam fakt posiadania bogatej kultury dla siebie. Z nielicznymi wyjątkami nasze wpływy są tylko regionalne. Wiele zawdzięczają im Ukraińcy, Białorusini, Litwini, mało Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi. W sytuacji o ileż lepszej są Rosjanie ze staroruskim malarstwem cerkiewnym, z Dostojewskim i Tołstojem... Myślę, że bez megalomanii narodowej można twierdzić, że Europa dużo traci przez faktyczną nieznajomość Mickiewicza, Słowackiego, Norwida. Zna natomiast już stosunkowo nieźle Gombrowicza i Witkacego. To też jest wskazówka, że oryginalne wartości artystyczne, mające szansę przekraczania granic naszej kultury narodowej, powstają nadal na rozstajnych drogach wiodących ze świata do nas – i z powrotem.

Myśli tu wyrażone nie są odkryciami, a wiele poruszonych zagadnień wymagałoby z pewnością pogłębienia. Wyobrażam sobie jednak, że dla dość licznej grupy czytelników będą to myśli co najmniej

kontrowersyjne, a częściowo nie do przyjęcia. Dlatego właśnie powstał ten szkic – z myślą o tym, jak bardzo rozpowszechnia się w Polsce ksenofobia i megalomania narodowa, choć nie sądzę, by było to zawsze równoznaczne z ostrym szowinizmem. W dodatku w różnych sprawach granice postaw zacierają się, trochę na skutek doświadczeń historycznych, niesprzyjających rozkwitowi postaw chrześcijańskich w stosunkach między narodami, trochę na skutek nawyków wychowania, tak że w rezultacie i autor tych uwag łapie się niekiedy na tym, że to, co pisze, uważa co prawda za słuszne, ale bynajmniej nie może twierdzić, by przyswoił sobie całkowicie, we wszystkich punktach postawę, którą głosi tak, by kierowała jego reakcjami emocjonalnymi bez potknięć. Tym potrzebniejsze jest propagowanie tej postawy. Jestem przekonany, że jednym z najistotniejszych zagadnień naszej teraźniejszości i przyszłości jest wyzbycie się megalomanii narodowej i ksenofobii, a przynajmniej ich stępienie do stanu niegroźnego dla dalszych losów narodu polskiego. Jeśli to się nie stanie, byle agent, włożywszy ułańskie czako i zawiesiwszy ryngraf na piersi, poprowadzi naród, dokąd zechce, podbijając bębienka „dumy narodowej” i manipulując fobiami. W ten sposób stracimy wszelkie szanse, nawet jeśli się one otworzą, współdziałania z innymi, jak my uciskanymi przez sowietyzm narodami. Tymczasem nie wolno nam czekać na szczęśliwe zbiegi okoliczności, musimy zacząć pracować nad zbudowaniem solidarności uciskanych. Inaczej zamkniemy sobie drogę do Europy Zachodniej, w której widzimy naszą kolebkę kulturową – na zawsze. Nie łudźmy się, że jeszcze w tej Europie się znajdujemy, może trochę – wspomnieniami, tęsknotami, pragnieniami. Z roku na rok pograżamy się coraz głębiej w sowietyzm, rozkładający nasz system wartości, więzi społeczne, widzenie przez nas samych naszych tradycji narodowych. Czasami wydaje się, jakbyśmy sami pchali się ku temu – tak to wyglądało w roku 1968. Miejmy jednak nadzieję, że naród nasz okaże się za mądry na tego rodzaju manipulacje.

[1981, 1991]

Do Delegatów na I Zjazd NSZZ „Solidarność”

Powiadamiam Kolegów oraz Prezydium zjazdu, że z przyczyn zdrowotnych muszę zakończyć swój udział w pracach zjazdowych. Zarazem pragnę podzielić się jedną refleksją. Sądząc po głosowaniu, czy zjazd ma nadal pracować nad wnioskiem Regionu Małopolska, dochodzę do wniosku, że bardzo duży procent delegatów uważa, iż cztery ciężkie dla moich przyjaciół i dla mnie lata – jeszcze cięższe dla naszych rodzin – to lata, które zmarnowaliśmy, gdyż jako członkowie KOR robiliśmy różne rzeczy, niemające nic wspólnego ani z potrzebami Polski i robotników, ani z historią i genezą „Solidarności”. Muszę stwierdzić, że choćby tak sądziła większość delegatów i tak w swoim sumieniu nie mógłbym z tym się zgodzić. Niemniej jest to dla mnie ciężki cios moralny, z którego trudno już będzie mi się pozbierać.

Przez wszystkie lata walki, jakie wypełniają moje życie, nigdy nie załamane się wobec wroga. To jednak, co się stało, jest ponad moje siły. Nie żałuję tych pięciu lat w KOR-ze (w tym czterech bardzo ciężkich), przeciwnie, będę zawsze dumny, że byłem w KOR-ze i chcę pozostać wierny jego ideałom. Nie jestem jednak pewien, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu umiałbym, gdyby zaszła potrzeba, zacząć od nowa z garstką ludzi (wtedy zawsze jest tylko garstka). Nie wytrzymuję dziś atmosfery nienawiści i podstępu, nie wytrzymuję hipokryzji i faryzeizmu, jeśli odczuwam je i zauważam nie u wroga, a u tych, których miałem – jeśli nie za przyjaciół – to przynajmniej za towarzyszy walki.

[Jan Józef Lipski]

Gdańsk, 1 października 1981 r.
Szpital A[kademii] M[edycznej]

List otwarty do polskich i niemieckich komentatorów mojej pracy *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*

Wydana w czerwcu 1981 roku przez Niezależną Oficynę Wydawniczą (NOW-a) w Warszawie moja książka *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, a raczej jeden jej rozdział, dotyczący stosunków polsko-niemieckich – stała się przedmiotem wielu komentarzy, napaści, a również pochwał. Nie taję, że ważniejszy jest dla mnie sąd „Tygodnika Powszechnego” niż Dziennika TV, „Żołnierza Wolności”, „Trybuny Ludu”, „Płomieni” i tym podobnych publikatorów. „Tygodnik Powszechny” nazwał moją książkę „mądrą”, pozostałe wymienione pisma i TV ostro ją zaatakowały, nie cofając się przed przeinaczaniem myśli mego tekstu.

Książeczka moja omawia zagadnienie nieobcej wielu Polakom megalomanii narodowej, czyli przekonaniu, że naród nasz jest lepszy i wspanialszy niż inne, stąd rodzą się często uczucia pogardy i wyższości wobec innych narodów oraz ksenofobii, czyli uczucia niechęci, a nieraz nienawiści do obcych, do ludzi innej narodowości. Obie te postawy uważam za niemądre, a co więcej za zagrażające zdrowiu moralnemu narodu. W kontekście tej całości należy czytać również to, co napisałem o stosunkach polsko-niemieckich. Stosunek Polaków do Niemców chciałbym kształtować według zasad etyki chrześcijańskiej, tak samo jak wobec innych narodów.

Streszczam tezy podstawowe rozdziału *Dwóch ojczyzn, dwóch patriotyzmów* traktującego o sprawach polsko-niemieckich:

1. Uważam, że jeśli dwóch zbirów kogoś napadnie – napadnięty nie może następnie płacić wszystkich kosztów tego, co się stało.

2. W rezultacie II wojny światowej Polacy zamieszkujący wschodnie ziemie niepodległej Rzeczypospolitej okresu międzywojennego

utracili swą ściślejszą ojczyznę, musieli jednak żyć – i jest to dostateczne usprawiedliwienie dzisiejszej granicy nad Odrą i Nysą.

3. Obejmując ziemie nad Odrą i Nysą oraz ziemie północne, należące uprzednio do Niemiec, i wysiedlając stamtąd Niemców – skrzywdziliśmy wielu ludzi należących do tego narodu. Znaczna ich część nie ponosiła bezpośredniej odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie. Należymy do obszaru kulturowego etyki chrześcijańskiej, która nie uznaje zasady odpowiedzialności zbiorowej. W związku z tym konieczne jest zaakceptowanie zdania z listu biskupów polskich do niemieckich „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie”.

4. Krzywdząc wielu Niemców, wybraliśmy jednak mniejsze zło. Większym złem byłoby, gdyby dla milionów Polaków, należących przecież do narodu napadniętego, zabrakło miejsca na ziemi. To sprawa nie tylko interesu narodowego, lecz i etyki.

5. Dla zdrowia moralnego narodu konieczna jest świadomość, że wybór mniejszego zła w sytuacji przymusowej nie jest wyborem dobra oraz wyciągnięcie z tego konsekwencji moralnych, które zawarte są w cytowanym wyżej zdaniu z listu biskupów polskich do niemieckich. Zdrowie moralne narodu stanowi podstawową wartość życia zbiorowego.

6. Argumenty historyczne usprawiedliwiające przesunięcie granic Polski na zachód uważam bądź za nieistotne, bądź za naciągane:

A. Pomorze Zachodnie nie było kiedyś polskie, chociaż było słowiańskie. Wcielanie tych ziem do Polski w czasach pierwszych Piastów łączyło się z podbojem. Pomorzanie przy każdej okazji wyzwalali się spod władzy Piastów, utworzyli własne państwo, które dopiero w XVII wieku zostało zniszczone przez Szwedów. Już za rodzimej dynastii procesy naturalne, bez przymusu dokonującej się germanizacji, były daleko posunięte, by zakończyć się prawie w zupełności już pod władzą pruską bez gwałtów.

B. Etnicznie polskie ziemie śląskie odpadły od Polski na rzecz Czech w średniowieczu, następnie wraz z Czechami weszły w skład monarchii habsburskiej, by w XVIII wieku stać się łupem Prus po wojnie z Austrią. Naturalna germanizacja Dolnego Śląska już w średniowieczu była niestety daleko posunięta, schodząc w dół po wczesnym zniemczeniu się elit politycznych i intelektualnych Śląska. W XX wieku proces ten zakończył się. Wyjątkiem pozostała Opolszczyzna i Górny Śląsk, w związku z tym ziemie te wyłączam z tezy ogólnej. (Co do Dolnego Śląska można więc mówić o „powrocie” – ale powrót po wiekach nie jest argumentem istotnym i niemożliwe jest dziś porządkowanie granic w Europie czy gdzie indziej tylko na tej podstawie).

C. Gdańsk, Malbork, Warmia wchodziły w skład Rzeczypospolitej od XV do XVIII wieku, przez ponad 300 lat. Były to już wówczas ziemie o przewadze ludności niemieckiej.

D. Całe były Prusy Wschodnie są dawnym terenem etnicznym Prusów (lud pokrewny Litwinom), wytępionych bądź zgermanizowanych przez Krzyżaków i ostatecznie przez Hohenzollernów. Ludność polska (Mazurzy i Warmiacy) jest tam ludnością napływową, osadzaną przez Krzyżaków, a następnie przede wszystkim przez księcia Albrechta von Hohenzollern. Ludność polska, w swej masie mało uświadomiona narodowo, trwała przy polskim języku, przechowywanym przez Kościół luterański. Ostatecznie „problem mazurski” zlikwidowaliśmy... my sami, po II wojnie światowej, przez nieludzkie traktowanie Mazurów (jako „szwabów”) przez ludność napływową i politykę ówczesnych władz, co skłoniło Mazurów do emigracji. Pozostało ich do dziś zaledwie kilka tysięcy.

7. Za Antonim Gołubiewem (pisarz katolicki, redakcja „Tygodnika Powszechnego”) uważam Drang nach Osten (parcie na Wschód) za ideologię nacjonalizmu niemieckiego, która pojawiła się dopiero w XIX wieku. Przenoszenie tej ideologii wstecz jest mitem, nic niemającym wspólnego z rzeczywistością. Przez czterysta lat zachodnia granica Rzeczypospolitej była „granica pokoju”, bodajże jedyną w Europie.

Tyle zawiera rozdział niemiecki mojej publikacji (rozważam też w swojej książce stosunek Polaków do Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Czechów, Rosjan, Żydów). Ponieważ ataki na mnie łączą się z fałszami, uważam za potrzebne wypunktowanie powyższych tez.

Pismo „Płomienie” (o „grunwaldzkim” kierunku; „Król Jagiełło bił Krzyżaki i pan Krupa chciał być taki”, czytamy w satyrycznym wierszyku z 1910 roku) zamieściło pełny tekst tego rozdziału niemieckiego... w tłumaczeniu (tendencyjnym) z „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, gdzie rozdział ten wydrukowano za moją książką (bądź jej przedrukiem w „Kulturze” paryskiej).

Tłumaczenie tekstu dostępnego w polskim oryginale traktuję jako kiepski dowcip, naruszający moje prawa autorskie, a tłumaczenie niemieckich nazw geograficznych miejscowości należących do Polski dopiero w nawiasach – za dowcip godny pisma „Płomienie”. Skądinąd Niemcy mają takie same prawo pisać Danzig i Breslau, jak my Drezno i Lipsk.

Czytelnik sam musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy polemizuje się ze mną uczciwie.

Uważam za konieczne wyraźne zaznaczenie, że nie tylko uważam obecność polską nad Odrą, Nysą, w Gdańsku i na Pojezierzu Mazurskim

za usprawiedliwioną, a wysiedlenie z tych obszarów Niemców za mniejsze i nieuniknione zło wobec zła większego, jakim byłaby nie-
możność urządzenia życia milionom Polaków, narodowi, który padł
ofiara napaści – ale i nieodwracalną. Dziś do argumentu za tą obec-
nością z roku 1945 dołącza się nowy – dla milionów Polaków jest
to już dziś ich ojczyzna. Dzieci Polaków na tych ziemiach urodzonych
po wojnie chodzą już do szkół. Pomijając interesy narodowe, byłoby
nieetyczne i krzywdzące zmienianie tego stanu. Ludzie to nie meble,
które można co pewien czas przestawiać.

Co zaś do niektórych niemieckich komentarzy, dostęp do prasy
niemieckiej mam częściowy i ograniczony, przeważnie z drugiej ręki,
co nie zawsze zasługuje na zaufanie. Chcę tylko powiedzieć, że od-
mawiam moralnego prawa do akceptacji niektórych tez mojej pracy
zależnie od wygody tym Niemcom, którzy nie chcą bądź nie potrafią
dokonać ze swej strony obrachunku z win niemieckich wobec Polaków.

Nie uważając większości głosów o mojej książeczce za uczciwą
i rzetelną polemikę, zarazem sądzę, że problemy poruszone w *Dwóch
ojczyznach, dwóch patriotyzmach* winny stać się przedmiotem szerokiej
i poważnej dyskusji, nie tylko w aspekcie stosunków polsko-niemiec-
kich, lecz również polsko-litewskich, polsko-białoruskich, polsko-
ukraińskich, polsko-czeskich, polsko-rosyjskich i polsko-żydowskich.
Mimo że odpowiednie rozdziały mojej książeczki nie zostały zaatako-
wane – ufam, że zasłużyły na równie gwałtowne i nierzetelne napaści
jak rozdział polsko-niemiecki. Ufam też, że całość stanie się podstawą
ocen bardziej rzetelnych i polemik godnych tej nazwy.

[Jan Józef Lipski]

Warszawa, 11 XII 1981

Odpowiadam na zarzuty

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem Panu bardzo wdzięczny za to, że na wiadomość o moim pobycie w Londynie zechciał Pan przesłać mi w celu zapoznania się z nimi listy polemiczne na temat mego artykułu *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*, które otrzymała „Kultura”.

Jestem w kłopotcie, nie dysponując tu moimi notatkami i kartotekami, muszę ograniczyć się do odpowiedzi w sprawach ogólnych. Obawiam się również, że po powrocie do kraju nie będę mógł uzupełnić tej luki, bowiem wracam na swój proces związany z oskarżeniem o kierowanie strajkiem w Ursusie 14–15 grudnia 1981.

Na niektóre uwagi – a może nawet listy – odpowiadać właściwie nie powinienem, a to z powodu tego, że są nieprzyzwoite. Na przykład pani Z. Jasieńczyk-Jabłońska pisze: „Pan, jako Polak (?)...”. Ciekaw jestem, dlaczego przyznała ta Pani sobie prawo postawienia tego znaku zapytania? Mam już za sobą nie tylko 56 lat życia, ale i kawał biografii: Szare Szeregi, pułk „Baszta” Armii Krajowej. Walczyłem w Powstaniu Warszawskim, byłem ciężko ranny, jestem inwalidą, odznaczony zostałem Krzyżem Walecznych. Do dzisiejszego dnia płacę niemałą cenę zdrowia i konieczności permanentnego leczenia się z tych powodów. Był to zapewne jakiś tam egzamin z patriotyzmu, który teraz, jak się okazuje, mam zdawać przed Panią Jasieńczyk-Jabłońską, surowym i według własnego jej mniemania (może słusznego) kompetentnym egzaminatorem. Później w niekrótkim już życiu też kierowałem się między innymi tym motywem, walczyłem, jak umiałem przeciw zniewoleniu narodu, nigdy nie kolaborując – ale może lepiej byłoby dla mnie na to się nie powoływać, bo być może Pani Jasieńczyk-Jabłońska ocenia te późniejsze moje boje negatywnie.

Ale mimo wszystko gotów byłbym odpowiedzieć w miarę swych umiejętności, chowając obrazę do kieszeni i nadstawiając drugi

policzek. Niestety, jednak nie rozumiem, o co Pani Jabłońskiej chodzi. Na przykład, co Pani Jabłońska miała na myśli, pisząc w związku z tytułem mojej pracy: „Komu i na co potrzebne są dwie ojczyzny? Żeby siedzieć na dwóch stołkach i manipulować nimi w razie potrzeby?”. Obawiam się, że Pani Jabłońska w ogóle nie zrozumiała w tym co najmniej punkcie mego tekstu, oceniając go zarazem w ten sposób: „Ot, tak sobie się głądzi”.

Mimo wszystko o trzech postawionych przez Panią Jabłońską sprawach mogę chyba coś powiedzieć, bo rozumiąłem:

1. Sprawa Czechów. Zapewniam Autorkę listu, że w roku 1968 byli w Polsce ludzie, którzy akceptowali inwazję. Nie była to na szczęście większość, ale zbyt dużo. Powody tego były dwa: telewizja zawróciła im w głowie straszakiem zachodniemieckiej interwencji w Czechosłowacji, a Czechów nie znosili. Zaledwie garstka ludzi znalazła w sobie dość przekonania i odwagi, by przeciwstawić się, ratując honor Polaków: Jerzy Andrzejewski i Zygmunt Mycielski w swych listach otwartych do Czechów i garstka studentów ze swymi ulotkami; ci zapłacili za to więzieniem. Nic nie pomoże usprawiedliwianie się, że to „gienierały”, jeśli nic się samemu nie zrobiło przeciw.

2. Antysemityzm. Z pewnością nie jest to dominująca postawa Polaków, niestety, zbyt częsta jak na mój gust. Czyżby Pani Jabłońska nie czytywała ani krajowej prasy oficjalnej (szczególnie w roku 1968, ale i dziś), ani nie słyszała o niektórych publikacjach niecenzurowanych? Doprawdy, brak kompetencji to może nie tytuł do polemizowania.

3. Łemkowie. Pisze Pani Jabłońska, że to nie Polacy, a reżym komunistyczny ich wygnał. To nie takie proste. Uczciwy Polak w czasie II wojny światowej nie brał mienia pożydowskiego. Mienie połemkowskie – to przyczyna, dla której nie tylko „reżym” przeszkadza Łemkom wrócić do ojczyzny.

W liście Pani Jabłońskiej, który moim zdaniem (muszę być szczery) nie jest ani kulturalny, ani na dostatecznym do poruszania bardzo poważnych problemów poziomie intelektualnym, jest jedna teza, z którą się zgadzam: że można by podobnie pisać o megalomanii i ksenofobii różnych narodów, wielu narodów. Chciałbym, by w każdym z tych narodów znaleźli się tacy, którzy by to robili. I często znajdowali się.

Pan Stefan Marcinkowski w swym liście przynajmniej nie obraża mnie, za co dziękuję, ale źle mnie rozumie. Zarzut jego, że dużo piszę o winach Polaków, a mało o niemieckich jest nieprawdziwy. Winę Polaków widzę tylko w związku z wysiedleniami, polegała ona na skrzywdzeniu wielu niewinnych i jeszcze większej ilości mało winnych – podczas gdy

Niemcom wyliczyłem długi szereg win, od średniowiecza. Widzę w tym interesujący przykład tego, do jakiego stopnia emocje przeszkadzają w rozumieniu tego, co się czyta. Ale to mniej ważne. Istotniejsze, że nie zrozumiał Pan myśli przewodniej tekstu. A jest nią przeświadczenie, że choćbyśmy my, Polacy, mieli na sumieniu wobec któregośkolwiek narodu na ziemi maleńką winę historyczną – winniśmy ją sobie wytknąć i, co więcej, przyznać się do niej wobec pokrzywdzonych, a to dla własnego moralnego dobra. Choćby nawet skrzywdzony skrzywdził nas stokrotnie. Natomiast nie można usprawiedliwiać zła komuś wyrażonego tym, że tamten skrzywdził nas stokroć więcej.

Wszystko, co napisał Pan Marcinkowski o wysiedlaniu Polaków przez Niemców, jest słuszne. Wiem o tym, gdyż między innymi ofiarą takich wysiedleń padli moi dziadkowie. Mógłbym nawet, gdybym miał zamiłowanie do erystyki, wypomnieć Panu Marcinkowskiemu, że nie wspominał na przykład o mordowaniu Polaków przez Niemców. Bo w niczym by to nie zmieniło sprawy...

Trochę natomiast ubawiło mnie, że zdaniem Autora listu nie dostrzegam roli władz PRL w opuszczaniu Polski przez Mazurów i Warmiaków. To świadczy naprawdę o silnej reakcji emocjonalnej. Uprzejmie proszę przeczytać jeszcze raz mój tekst. Może coś znajdzie się na ten temat.

Nieporozumieniem jest uwaga, że szturm germanizacyjny w XIX i XX wieku tyczył nie tylko Śląska, lecz i Wielkopolski. To prawda, ale moje rozważania dotyczyły tylko Ziemi Odzyskanych! Czy Pan Marcinowski tego nie dostrzegł?

Nieszczęsna sprawa Drang nach Osten. Jak to się stało, pisze Pan Marcinkowski, że po 1795 roku Prusacy znaleźli się w Warszawie? A jak się stało, że w 1871 znaleźli się w Alzacji i Lotaryngii? Drang nach Westen? Nieco wcześniej w Szlezewiku-Holsztynie? Drang nach Norden? A w 1938 w Wiedniu? Drang nach Süden? A skąd Chrobry wziął się w Miśni i Pradze? Drang nach Westen?

Twierdzenie, że istniała ideologia Drang nach Osten, świadomość strategiczna kierunku ekspansji, wymaga dowodów takich, jak każda teza w historii idei i świadomości zbiorowej, powołania się na teksty czy bardziej pośrednie dokumenty. Ideologia Drang nach Osten jest faktem historycznym, o tym piszę – lecz dopiero od XIX wieku, i to nie od początku.

Pisze Pan Marcinkowski, że przesłanki do pojednania narodów polskiego i niemieckiego winny obowiązywać obie strony. Podpisuję się pod tym obydwoma rękami – i nie tracę nadziei. Ponieważ jestem stroną polską, zajmuję się tym, co do mnie należy, wierząc, że znajdą

się Niemcy, którzy podobnie wypełnią swój obowiązek. A jeśli się tacy nie znajdą? Byłoby to smutne, ale uważam, że i tak winniśmy aż do końca zrobić swój rachunek sumienia. Zrobić go należy dla własnego dobra.

Moje oczekiwania i nadzieje kierują się nie tylko pod adresem Niemców, ale wszystkich innych narodów, które mają cokolwiek wobec Polaków na sumieniu.

Uważam natomiast, że przyjęcie z radością i pochwałą moich uwag o winach polskich, a jednocześnie niezająknięcie się nawet o winach własnych byłoby po prostu nieuczciwością ze strony publicystów tych narodów, z którymi w dziejach mieliśmy coś na pieńku – i byłaby to zła przysługa wyrządzona przyszłemu pojednaniu.

Rozczarowała mnie na ogół, muszę przyznać, niemiecka reakcja na mój artykuł i inne gesty czynione przez Polaków. Mogłem oczywiście coś przegapić, przebywając prawie pół roku w więzieniu. Ale przyjeżdżam na badania i kurację do Londynu i od razu na wstępie trafia do moich rąk artykuł Ottfrieda Henniga, członka Bundestagu, ustosunkowującego się do polskiego apelu do Niemców w „Deutschland Magazin” z 1 czerwca 1982 [*Apel do Narodów Świata, w tym do Narodu Niemieckiego* wystosowany przez Tymczasową Komisję Koordynacyjną „Solidarności” w proteście przeciwko stanowi wojennemu w Polsce.]. Najkonkretniejsze zdanie tej wypowiedzi brzmi: „Kwestia granicy między Niemcami i Polską jest otwarta. Nikt dotąd nie miał uprawnień, by uznać granicę na Odrze i Nysie jako ostateczną granicę wschodnią Niemiec”.

Otóż w tym miejscu trzeba wyraźnie i do końca dopowiedzieć parę spraw, które zresztą wynikają jasno z mego artykułu.

Przed wszystkim raz jeszcze muszę powtórzyć jego tezę fundamentalną, której nie chcą zauważać moi polemisci, przeważnie w wyniku złej woli, ale niejednokrotnie z emocjonalnie zdeformowanej lektury mego tekstu. Nie może być tak, że gdy dwóch zbirów napadnie jakiś naród, wszystkie koszty tego, co się stało, mają być płacone przez napadniętego. W wyniku II wojny światowej, rozpętanej przez Niemców, wspartej przez ZSSR (pakt Ribbentrop–Mołotow), nie tylko miliony polskich obywateli utraciły życie, a cały naród poniósł potworne straty materialne, lecz również miliony obywateli zostały pozbawione swej ojczyzny na dawnych wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Gdzieś ci Polacy musieli znaleźć miejsce do życia. Stało się to kosztem Niemców, często (choć nie zawsze) z ich krzywdą. Nie uważam na przykład za skrzywdzonych ani tych, którzy brali udział w eksterminacji, ani tych, którzy udzielali jej poparcia organizacyjnego,

moralnego lub jakiegokolwiek innego. Ale byli, jestem tego pewien, i inni. Dlatego jestem pewien, że skrzywdziliśmy wielu (choć nie-równy to rachunek krzywd). Winniśmy to wyznać i dać skrzywdzonym satysfakcję moralną (którą, takie jest życie, będą próbowali zagarnąć sobie na swój rachunek i dla swych celów ci, których za skrzywdzonych nie uważam, co więcej, zaczną oni właśnie myśleć, jak tu wystawić Polakom rachunek).

Pytam jednak tu Pana Henniga (czy będzie miał okazję to przeczytać?), jak sobie wyobraża konsekwencje swego stanowiska, że kwestia granicy jest otwarta? Czy chce ją przesunąć? Co chce zrobić z zamieszkałymi tam Polakami? Dlaczego sądzi, że krzywda Polaka, który by padł ofiarą „otwartej kwestii granic”, byłaby mniejsza niż Niemca, który swą krzywdą płacił cenę za czyny swych rodaków? Proszę policzyć, dwudziestoletni żołnierz, który zdemobilizowany osiedlał się nad Odrą w roku 1945, ma dziś 57 lat. Jego dzieci tam się urodziły, nad Odrą. Są dorosłe – jak moje dzieci. Same już niejednokrotnie mają dzieci, które chodzą do szkoły. Najstarsze z nich za kilka lat zaczną zakładać swe rodziny. Ich można krzywdzić, prawda? Bo to nie ich ojczyzna zapewne – zdaniem pana Henniga? Dokąd chce ich przesiedlać? Czy naprawdę rachunki niemieckie wobec Polaków są tak znikome, że należy myśleć dziś o ich powiększeniu przez wyrwanie z korzeniami milionów dzisiejszych mieszkańców ziem nad Odrą i Nysą? Jak to miałoby być robione? Przez kogo i jakimi metodami? Może już znanymi Polakom? Sądzę, że nie tylko Polacy, lecz i uczciwie myślący Niemcy nie wyraziliby na to zgody. Może już czas przestać okazywać nadmierną łatwość w projektowaniu wykorzeniania milionów ludzi i przerzucaniu ich z miejsca na miejsce – co z taką łatwością robiono z Polakami od 1939 roku? Może Europa powinna już zapomnieć o tej zmurze?

Polemizuje ze mną również Pan Józef Łobodowski. Nie odpowiem mu z głowy co do Wielkich Łuk, mam nadzieję, że uda mi się to zrobić, gdy wrócę kiedyś do swych kartotek.

Natomiast nie zgadzam się z nim w następujących punktach:

1. „Istotnie, Jaćwież została niemal w całości zlikwidowana »ogniem i mieczem«, ale było to plemię zbójeckie” – czytam. No, ładne rzeczy! To i Prusów zapewne słusznie Krzyżacy załatwili? I Litwinom (por. „Stary Budrys trzech synów...”) by się pewnie należało? No i Wikingom ze Skandynawii? Na pewno Tatarom? Węgrom, którzy byli kiedyś postrachem średniowiecznej Europy? I komu jeszcze?

2. Saragossa. O Boże, jeśli to, że „sytuacja Polski była wtedy skomplikowana” ma uchylić słowo „hańba” wobec tego, co się działo

wówczas w Saragossie – to może umówmy się, że w ogóle przestaniemy cokolwiek oceniać z punktu widzenia moralnego.

3. Wajda i Saragossa. Co ma Rafał Olbromski na śnieżnej równinie do problemu Saragossy? Nic! Natomiast w scenach z Saragossy Wajda raczej ujął, niż dodał. No, może dodał jedno ujęcie plastyczne z Goi, ale nie przeciw Żerowskiemu!

4. Bajonetaż na San Domingo. Nie wiem, czy był rzekomy, czy nie. I może źle pamiętam *Popioły*, a nie mam ich tu pod ręką. Umówmy się, że Pan Łobodowski i ja weźmiemy książkę do ręki, sprawdzimy, co opowiada stary legionista Krzysztofowi i Rafałowi, a jeśli nie będzie bajonetażu (lub rozstrzelania) to ja napiszę do „Kultury”, iż Wajda to wymyślił, jeśli będzie – Pan Łobodowski przeprosi Wajdę, niezależnie od tego, jak piękna była Murzynka z Dominikany o mazowieckim nazwisku.

5. Czarniecki: „wsi za wsią, aż do niemowlęcia, nie mordowano”. To przykra sprawa oceniania przez profesora Konopczyńskiego hasła „Czarniecki” w *Polskim Słowniku Biograficznym*. Profesor Kersten (wówczas jeszcze dr Kersten) w Klubie Krzywego Koła stoczył na ten temat spór z paroma historykami (pamiętam tylko, że był tam między innymi Lewak). Proszę po informacje do niego.

6. Raid Czarnieckiego spowodowany był rzezią pod Batohem. Być może. Jeśli jedna rzeź może być usprawiedliwieniem drugiej to racja jest po stronie pana Łobodowskiego, jeśli nie – to po mojej. Natomiast Pan Łobodowski pisząc, „jak już opowiadać te ponure dzieje – to dokładnie, nie pomijając szczegółów, które często bywają zasadnicze” – dowiódł, że nie rozumie, o co mi w ogóle chodzi. A chodzi mi o to, że chcę doprowadzić do sytuacji, i może mi się uda, że o rzezi pod Batohem przeczytamy w „Kulturze” nie w artykule p. J. J. Lipskiego, lecz któregoś z ukraińskich historyków.

7. *Pflug* – etymologia sporna. Ale być może Niemcy wzięli to słowo od Polaków. Pan Łobodowski znowu czegoś nie zrozumiał. Nie było powodu, bym zaznaczał zapożyczenie tego słowa przez Niemców, gdyby nawet tak było. To, że Niemcy coś ewentualnie od nas przejęli, nie jest odpowiedzią na pytanie, czy doznawaliśmy od nich tylko złych rzeczy, czy i dobrych. To w ogóle inny temat. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia dla publicysty, niż pisanie nie na temat?

8. Grunwald czy Legnica? Jeśli będziemy sobie rozbijać czerepy, symbolem będzie Grunwald. Jeśli uda się doprowadzić do pokoju i współpracy między tymi dwoma narodami – symbolem będzie Legnica. Pan Łobodowski pisząc, „Wolne żarty!”, daje wyraz przekonaniu, że możliwy jest tylko pierwszy wariant. Ja obydwa uważam za możliwe, a drugi, legnicki, za pożądany.

9. Krzyżaków było mało pod Legnicą i tak dalej. Uważam Pana Łobodowskiego niewątpliwie (w odróżnieniu od siebie) za wielki autorytet w dziedzinie historii wojskowości w średniowieczu, ale mnie ten temat mało interesuje. Bardziej interesuje mnie, czy razem walczyliśmy przeciw Mongołom, czy nie. Polaków też było mało w wojnie Stanów Zjednoczonych o niepodległość – i kto wie, może bez Pułaskiego i Kościuszki też by się wyzwolili. Możliwe że jakiś dowcipny amerykański publicysta to napisze. I co z tego?

10. Problem etniczności Henryka Pobożnego zostawiam Panu Łobodowskiemu, któremu zapewne zwierzał się w tej sprawie zainteresowany (a propos: W jakim języku mówiło się w tym czasie na śląskim dworze?).

11. Gdańsk i jego los na początku XIV wieku. Gustaw von Köhler słusznie w swej *Geschichte der Festungen Danzig und Weichselmünde* żle się wyraził o Wielkim Mistrzu, Heinrichu von Plotzke, polecam Köhlera jako wzór. Rzeczywiście, Wielki Mistrz był draniem: zajął podstępem Gdańsk, fałszywie oskarżył i stracił szesnastu polskich rycerzy i zabił prawie setkę mieszczan gdańskich, w tym również Niemców (wtedy ucierpeli również mieszczaństwo niemieckie z Tczewa, wysiedleni za opór przez Krzyżaków). Piszą o tym: Małuszyński w „Roczniku Gdańskim” z 1935 roku, K. Jasiński w „Zapiskach Historycznych”, Toruń 1966, G. Labuda w *Historii Pomorza*.

12. Drang nach Osten. Pan Łobodowski, nie wiem, dlaczego udaje, że nie rozumie, o co chodzi – bądź rzeczywiście nie rozumie, w takim razie spróbuję wytłumaczyć. Sądząc z jego tekstu, rozumie on ten zwrot jako nazwę dla tendencji ekspansywnej Niemiec w kierunku wschodnim. W tym sensie można mówić i o niemieckim, i o polskim, i o rosyjskim parciu na wschód. Od początku XIV wieku jednak zachodnia granica Polski ustabilizowała się i nie rozumiem, dlaczego „tak historii przedstawiać nie należy”. To coś znaczy, jeżeli nizinna granica, nie naturalna, jest przez setki lat nie tylko najbardziej stabilną granicą Europy, ale w ogóle zbrojnie nieprzekraczaną. Jednak Pan Łobodowski wie zapewne, że przez Drang nach Osten rozumie się jeszcze coś innego, mianowicie strategię narodową, program, ideologię. Jest to bzdura absolutna, ahistoryczna i paranoiczna. Tę bzdurę stworzyła publicystyka historyczna wilhelmińskich Niemiec ze względów ideologicznych, jako mit historyczny potrzebny aktualnemu imperializmowi – a Polacy uwierzyli w nią nie tylko jako w zjawisko ostatnich stu kilkudziesięciu lat, ale są przekonani, że na przykład Otto I mówił coś w tym rodzaju: „No, czas pomyśleć o naszym programie Drang nach Osten i zabrać się do realizacji!”.

13. Nie rozumiem, co ma do rzeczy cesarz Maksymilian i Iwan III? Że chcieli zawrzeć układ antypolski? Chcieli. To chyba zdarza się, że dwa mocarstwa próbują się dogadać przeciw trzeciemu, które jest między nimi. Na co to ma być dowód?

14. Jeśli twierdzą, że zachodnia granica Polski była najtrwalsza w Europie przez trzysta pięćdziesiąt lat (praktycznie biorąc – więcej, epizod 1307 roku był poprzedzony długim okresem pokoju), nie mam na myśli granic północnych, tak jak przez wschodnie nie rozumiem południowych itp.

15. Nie rozumiem, dlaczego Pan Łobodowski chce toczyć ze mną spór o stopień zniemczenia Dolnego Śląska w XVIII wieku? Moja teza brzmi: Prusy zabrały Dolny Śląsk Austrii, nie Polsce. Czy tak? I druga: Dolny Śląsk uległ zniemczeniu nie metodami terrorystycznymi. Czy tak? W połowie XVIII wieku są jeszcze polskie wsie pod Wrocławiem, Jezus Maria, przecież *ja* to piszę. Czemu sztuka czytania u Polaków tak nieznacznie posunęła się naprzód od Bolesława Chrobrego! To fakt, że księża niemieccy jeszcze w XIX wieku uczyli się we wrocławskiej archidiecezji polskiego. Uprzejmie proszę wziąć mapę historyczną archidiecezji wrocławskiej w połowie XIX wieku i wszystko będzie jasne.

16. Henryk Probus na pewno uważał się za Piastę (a ja za Lipskiego, mój polemista zaś za Łobodowskiego), a nawet za księcia polskiego (miał ambicje na Kraków). Ale na dworze piastowskim mówi się już wtedy po niemiecku, niestety. To niepoważne pisać: „był Polakiem, tyle że kulturalnie zniemczonym”. Czy Pan Łobodowski poważnie sądzi, że wówczas istniało takie poczucie narodowe, jakie my mamy? I jaką ankietę w tej sprawie wypełnił mu Henryk Probus?

17. Oczywiście, dużo Niemców się spolonizowało. Co z tego wynika dla rozumowania Pana Łobodowskiego? Dlaczego mnie przekonuje, że Grottger i Traugutt to Polacy? Naprawdę zdumiewa mnie ten ustęp. Czytając go, czuję, że ktoś oszalał.

Szanowny Panie Redaktorze! Przerywam w tym miejscu. Nie mam już sił! To przecież nie ma sensu, prostować zdanie po zdaniu, raz dlatego, że polemiście brak kompetencji, że nie czytał („rzeź gdańska”), to znów, że żywi trudne do akceptacji sądy moralne (dobrze, że wyróżniło Jadźwingów), to znów, że pisze nie na temat (cesarz Maksymilian i Iwan III) – i przede wszystkim, że zachowuje się tak, jakby nie rozumiał tezę mego artykułu, w co trudno mi uwierzyć, ale możliwe, że wyłożyłem je niejasno. Już brak mi sił zarówno do kontynuowania, jak i do pisania od nowa polemiki. Obawiam się, że uległem tak zwanej indukcji paranoicznej i ten niedokończony list jest tego dowodem. Rozemocjonowani patriotycznie do ostatnich granic moi (raczej

Pana!) korespondenci dają pokaz dziwnej niezborności, udziela mi się to tak, że tracę kontrolę nad własną odpowiedzią. Teraz z kolei może się to udzielić Panu i wydrukuje Pan ten kadłubowy tekst, co miałoby niewiele sensu i znaczyłoby, że wszyscy, łącznie z Panem, oszaleliśmy.

Jedyny sensowny i pożyteczny tekst spośród tych, które od Pana otrzymałem, napisał pan Aleksander Kołodko. Po bliższym zapoznaniu się z danymi przez niego sygnalizowanymi być może uzupełnię mój tekst we fragmencie białoruskim, choć przykro mi, że więcej krzywdy wyrządziliśmy Białorusinom, niż sądziłem. Dziękuję mu.

Dziękuję Panu za dobre słowa. Wierzę w przyszłość.
Łączę wyrazy szacunku

Jan Józef Lipski

Londyn, 23 VII 1982
[„Kultura 1982, nr 9]

Nota edytorska

Podstawa druku: *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*, w: *Tunika Nessosa. Szkice o literaturze i o nacjonalizmie*, Warszawa 1992, s. 139–163). Wydanie ukazało się już po śmierci Jana Józefa Lipskiego, jednak tekst był przez niego opracowany i opatrzone komentarzem.

Zmiany w porównaniu z pierwodrukiem są niewielkie, nie mają wpływu na argumentację czy ogólną wymowę eseju, nie zostały dokonane żadne zmiany merytoryczne. Być może zresztą w pierwodruku – z uwagi na zrozumiałe trudności techniczne – znalazły się drobne błędy, które autor poprawił w wydaniu przygotowywanym przed śmiercią.

Pod tekstem w wydaniu z 1992 roku jako dopowiedzenie znalazł się artykuł *Depozyt*, opublikowany w roku 1990 w „Gazecie Wyborczej” (nr 51, s. 5), uwrażliwiający Polaków na konieczność dbałości o dziedzictwo kultury niemieckiej – także jako przykład do naśladowania przez Ukraińców, Białorusinów, Litwinów w stosunku do dziedzictwa kultury polskiej oraz jako ważny aspekt pojednania i budowy wspólnej Europy.

Decyzja o wyborze ostatniego za życia autora – a nie pierwszego – wydania nie była łatwa; to pierwsza edycja (i kolejne, przedrukowywane, w części zapewne z pojawiającymi się błędami) miała największy wpływ, wywołując polemiki, prowokując też autora do odpowiedzi (kilka z nich przedrukowano w niniejszym wydaniu).

Po pierwsze jednak, nie mam pewności, że Lipski mógł kontrolować tekst tych edycji (z uwagi na konspiracyjne warunki pracy czy pośpiech); po drugie zaś, dopracowywanie przez autora tekstu, łącznie z drobną, ale znaczącą zmianą w tytule, świadczy, że chciał tekst udoskonalać.

Nie udało się niestety odnaleźć autorskich rękopisów czy maszynopisów, żeby skolacjonować tekst; w Archiwum Opozycji Ośrodek Karta (sygn. sygn. AO III/13K.1, pozycja 6) znajduje się maszynopis o niewiadomym pochodzeniu, bez poprawek odręcznych – był to zapewne czystopis, nie wiemy jednak, z jakiego okresu pochodził i czy był w pełni zaakceptowany przez Autora. Istnieje oczywiście możliwość, że w tekście eseju wydrukowanym już po śmierci autora pojawiły się zmiany niewprowadzone przez niego – to właśnie ta wersja, nad którą pracował, wydaje się najbliższa jego intencjom.

Powinniśmy respektować wolę autorską, publikując ostatnie chociaż w części kontrolowane przez niego wydanie. Dodatkowo zostały dołączone teksty stanowiące odpowiedź na pierwszą falę zarzutów, powracających do dziś, łączących w ataku na ten esej propagandę PRL oraz część prawicy odwołującej się do nacjonalistycznego spojrzenia na historię.

Lipski był reprezentantem niepodległościowej lewicy – o której istnieniu wciąż trzeba przypominać; w latach 80. XX wieku tworzył Polską Partię Socjalistyczną, nawiązując do dzieła Ignacego Daszyńskiego, Tomasza Arciszewskiego i Adama Ciołkosza. Wobec PPS komuniści byli nastawieni wrogo, represjonując jej wybitnych przedstawicieli i zawłaszczając słowa „socjalizm” oraz „lewica”.

Tytuł eseju nawiązuje do przedwojennego wiersza Antoniego Słonimskiego *Dwie ojczyzny*, pokazującego dwa modele patriotyzmu: pierwszy, nacjonalistyczny, „zginający karki” przed „każdą władzą”, ceniący jedynie nagą siłę, nadużywający słów i bojący się własnych ofiar, będący w rozumieniu Lipskiego jedynie szowinizmem i egoizmem – i drugi, odwołujący się do demokratycznych tradycji wyrażonych słowami „za wolność naszą i waszą” (nie przeciwko narodom, a przeciwko tyranom), wskazujący wspólnotę wartości – poszanowanie praw wszystkich, bez dyktatu większości wobec inaczej myślących mniejszości.



Pierwodruk szkicu: *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy. (Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków)*, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, Warszawa, [czerwiec] 1981. Przedruk: „Kultura” 1981 (Paryż), nr 10, s. 3–29.

Drugie wydanie pod tytułem *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy. (Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków)*, w: *Tunika Nessosa. Szkice o literaturze i o nacjonalizmie*, Warszawa 1991.

Wydanie ukazało się już po śmierci autora, przygotował jednak teksty do druku – to na tym wydaniu oparto edycję w tomie J. J. Lipski, *Pisma polityczne. Wybór*, wybór, opracowanie i objaśnienia Ł. Garbał, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2011.

Tekst miał też wiele wydań podziemnych, między innymi: Niezależne Wydawnictwo Chłopskie (1981), Świt (1981), CDN (1982), Niezależna Drukarnia Wałkowska im. Konrada Bielińskiego (1982?), MKK (1983), Resursa (1983?), Federacja Południowo-Zachodnia NZS [Niezależnego Zrzeszenia Studentów] (1984?), Głos Śląsko-Dąbrowski (1984), Stop (1984). Esej doczekał się wielu tłumaczeń na języki europejskie.

Dodatkowo drukowane teksty:

Do delegatów na I Zjazd NSZZ „Solidarność”

Pierwodruk pt. *DO DELEGATÓW NA I-SZY ZJAZD NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”, „Kultura”* [Paryż], 1981, nr 12, s. 146–147.

Rozwinięto liczebniki, rozwinięto skrót AM.

List otwarty do polskich i niemieckich komentatorów mojej pracy *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*.

Podstawa druku: rękopis i maszynopis na przebitce, datowane „Warszawa 11 XII 1981”, zachowany w archiwum domowym.

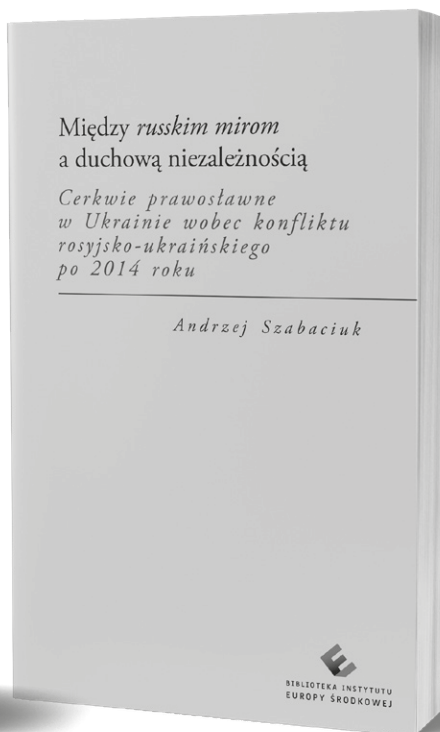
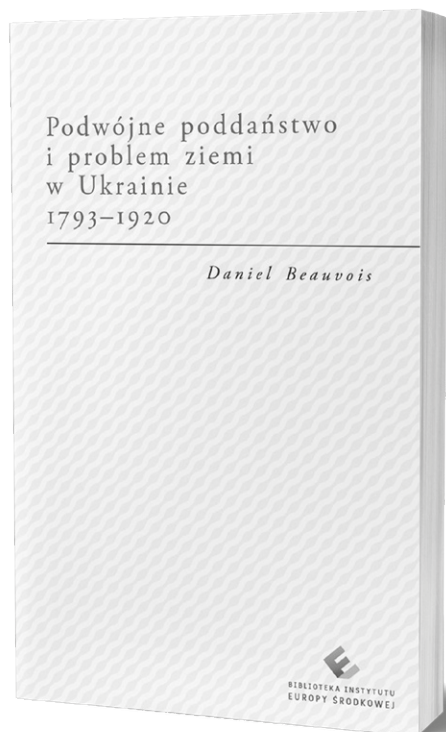
Odpowiadam na zarzuty

Pierwodruk: „Kultura”, 1982, nr 9, s. 91–98 [w dziale: Polemiki].

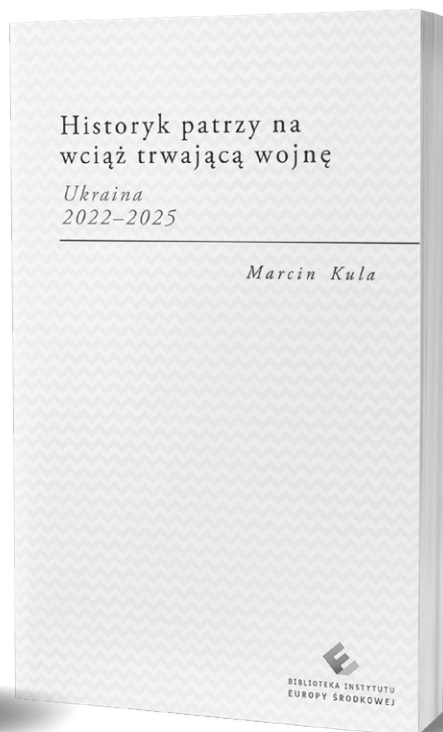
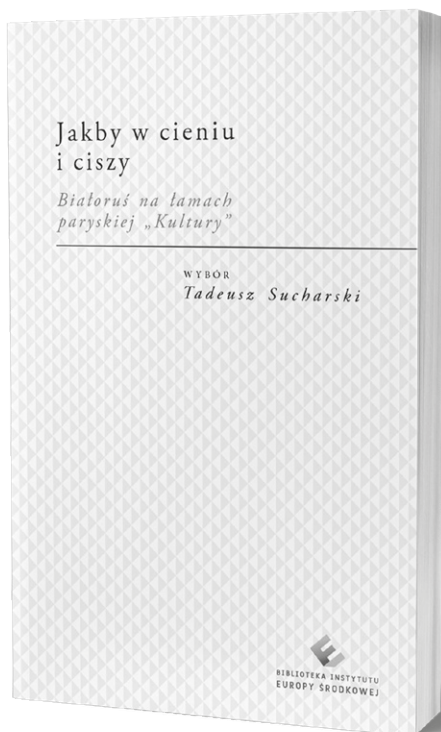
Przedruk: „Kultura (Wybór)”, [t. 9], 1984, s. 70–73.

Podstawa druku: pierwodruk.

Łukasz Garbał

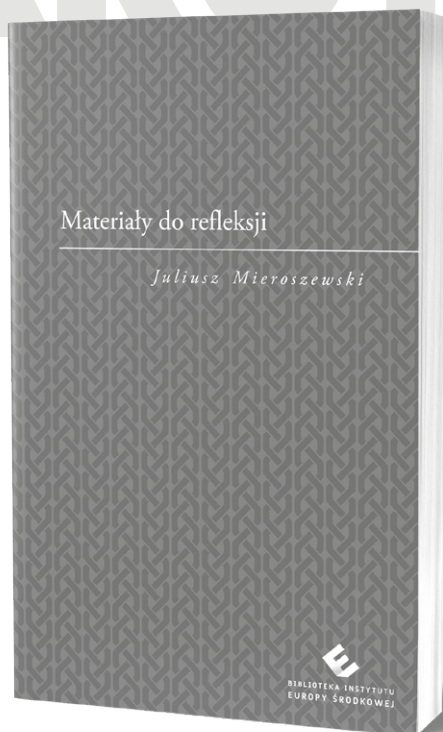


BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ

WKRÓTCE



BIBLIOTEKA INSTYTUTU
EUROPY ŚRODKOWEJ



biblioteka kultury

Jakub Karpiński
**porcja
wolności**
Tekst redakcyjny tom 311



Tekst wydany na podstawie wersji zawartej w tomie
Jan Józef Lipski, *Pisma polityczne. Wybór*,
opracowanym przez Łukasza Garbala,
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2011

Wydawca dziękuje Rodzinie Jana Józefa Lipskiego,
właścicielom praw autorskich, za bezpłatne udzielenie zgody na wydanie

PRZYGOTOWANIE DO DRUKU
Andrzej Peciak

PROJEKT OKŁADKI I STRON TYTUŁOWYCH
Krzysztof Rumowski

ZDJĘCIE AUTORA NA STRONIE DEDYKACYJNEJ
Krzysztof Gierałowski

ZDJĘCIE AUTORA NA OKŁADCE
Krzysztof Hyla

SKŁAD
Amadeusz Targoński

© Agnieszka Lipska-Onyszkiewicz, Jan Tomasz Lipski

ISBN 978-83-67678-97-1

DRUK I OPRAWA
Akapit Lublin

INSTYTUT EUROPY ŚRODKOWEJ
ul. Niecała 5, 20-080 Lublin, www.ies.lublin.pl

